

# Juliet Burns

## Gra o namiętność

### ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Tęskniłem do ciebie - usłyszała przytłumiony szept i poczuła ciężar obejmującego ją męskiego ramienia.

Krzyknęła i próbowała się uwolnić, ale mężczyzna trzymał ją mocno. Jego gorące usta dotknęły jej szyi, a ją przeszył dreszcz.

Chwycił ją za ramiona i obrócił twarzą ku sobie.

- Pragnę cię już teraz, dziś wieczór, skarbie - mówił bełkotliwie, z ust czuć mu było piwem, a w jego głosie wyczuła groźbę. Złękła się. Pochylił głowę i całując ją, chwycił ustami jej usta.

Przygarnął ją do siebie, ale gdy powędrował ramieniem niżej i złapał ją za pośladki, jednym silnym ruchem odepchnęła go i wyrwała się spod niego.

Cofnął się, gdy chwyciła za nóż leżący na stole. Była sama w tym dziwnym domu. Jediną osobą, która wiedziała, gdzie ona jest, był jej wydawca.

- Kobieto, do jasnej cholery! - wrzasnął, opierając się o ścianę. Obiema dłońmi objął prawe udo, długie włosy opadły mu na policzki, zdołała jednak dostrzec błysk w jego oczach i twarz wykrzywioną bólem.

- Chryste, jak możesz?!

Dżinsy miał stare, postrzępione, na twarzy parodniowy zarost.

Może nie powinna chwycić się aż takich metod? Istnieją bezpieczniejsze środki zdobywania szlif dziennikarskiego.

Ręce jej drżały.

- Zaatakowałeś mnie!

Nie mogła złapać tchu. Nie, to nie może być ten znany mistrz rodeo, z którym miała przeprowadzić wywiad, napisać o nim artykuł.

Zmarszczył brwi. Oczy miał szeroko otwarte. Zerknął na nóż w jej ręku.

- Odłóż to! Nie bój się, nie zrobię ci krzywdy.

Tak, poznała go, te jego piękne niebieskie oczy. Poczuła ucisk w gardle. Aż nie do wiary!

Mark Malone. Samotny Kowboj.

To jego przed pół rokiem wyniesiono na noszach z areny. I potem nikt go już więcej nie widział. Jego agent odmawiał wszelkich z nim wywiadów. Ona, Audrey, sfotografowała go wtedy na wózku inwalidzkim.

- To naprawdę ty? Niemożliwe!

- Jakie „naprawdę ty”? Co „niemożliwe”?

Mężczyzna podrapał się po policzku, podczas gdy Audrey opuściła nóż na podłogę.

- Ty jesteś Samotny Kowboj ?

- Już nie - mruknął.

Jak ona się tu dostała? I co za jedna? Jakaś jego zwariowana fanka? Dziennikarka? Przyszła nieproszona na jego ranczo?

- Kim jesteś?

Wskazała palcem na siebie.

- Jestem twoją nową gospodynią - oznajmiła, akcentując ostatnie słowo, jak gdyby to ona zadawała mu pytanie.

- Gospodynią? Mój służący nigdy mi o czymś takim nie wspomniał.

Przyjrzał się jej dokładniej, szczególnie górnej części jej swetra. Za młoda. Za bardzo...

- Widocznie byłeś pijany i zapomniałeś - rzekła i zaraz przykryła usta obydwoma dłońmi.

Coś podobnego! Mark spojrzał na nią spod półprzymkniętych powiek. Oskarżała go o pijaństwo. Niech to szlag! Po tym, co usłyszał dziś od lekarza, miał prawo do paru głębszych.

- Nawet jeśli on cię zatrudnił, ja cię zwalniam, od zaraz! Nie jesteś mi tu potrzebna!

Skoro ma żyć z tym bólem, pomyślał, to ma prawo w spokoju się napić.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma.

- John zatrudnił mnie. Możesz go o to zapytać. Przykro mi, że to ci nie odpowiada, ale...

- Nie odpowiada! Łagodnie powiedziane! Nie życzę sobie... Wracaj tam, skąd przyszłaś. Nie potrzebuję żadnej gospodyni.

Obrzuciła go spojrzeniem, wsparła dłonie na biodrach.

- Potrzebna ci nie tylko gospodyni!

Co powiedziawszy, przemknęła obok niego, wybiegając z kuchni.

Ostatnia rzecz o jakiej marzył, to to, żeby ktoś kręcił mu się po domu. Chwytał butelkę wódki. Wypije do końca. Ta cholerna noga nie daje mu żyć!

Alkohol zrobił swoje. Po godzinie Mark nie czuł już bólu i jednym okiem oglądał nocny talk-show w telewizji. Uniósł wzrok na Johna, który rzekł, wyłączwszy aparat:

- Dzwoniła nowa gospodyni. Powiedziała, że ją przepędziłeś.

- Nie chcę jej, jest taka jakaś roztrzępana.

John był kimś więcej niż jego służącym. Był po ojcu najbliższą mu osobą. Westchnął ciężko.

- Mark, kiedy ostatnio jadłeś coś porządnego? - zapytał.

Ten chwycił pilota i włączył z powrotem telewizor.

- Dobrze, dobrze.

- Żadne „dobrze"! Nie mogę na ciebie patrzeć!

Mark nie odrywał wzroku od ekranu.

John stanął między nim a telewizorem.

- Słuchaj, stary - zaczął. - Byłem cierpliwy, bo los dał ci do wiwatu. Ale wystarczy. Weź się w garść

- Przymknij się, John - rzekł Mark przez zaciśnięte zęby. Jedyne, co potrafił, co pozwalało mu zapomnieć, skończyło się. Niech wszyscy, do diabła, dadzą mu święty spokój!

John potrząsnął głową i zaklął pod nosem, co raczej mu się dotąd nie zdarzało.

- Twoja sprawa - powiedział. - Uciekaj od świata, skoro tak sobie życzysz. Ale jeśli chcesz, żebym ja tu został, ona też ma tu być. Dwie osoby już przegnałeś. Jeśli zamierzasz sprzedać ten dom, musi tu być czysto.

John patrzył na niego przez chwilę, po czym ruszył w stronę drzwi.

Mark skrzywił się. Czy John naprawdę chce się wynieść?

- John! - zawołał i gdy ten obejrzał się, Mark wytrzymał jego wzrok. - No dobrze, niech zostanie.

Audrey zrzuciła ubranie i padła na łóżko jak nieżywa. Przez cały dzień sprzątała kuchnię i wszystkie kości ją bolały. Ale nie dlatego nie mogła zasnąć.

Wszystkie jej wyobrażenia o bohaterze prysły jak bańka mydlana. Gdyby nie to, że musiała zdobyć ten materiał, już by jej tu nie było, wróciłaby do Dallas.

Co za gorzki zawód! Dziś rano przybyła na ranczo Samotnego Kowboja i zamiast romantycznego jak z westernu domostwa zastała coś, co przypominało raczej niechlujne wnętrze baru. Woń nieświeżego jedzenia, piwa, niedopałki papierosów na podłodze. Na stole kuchennym - opakowania po fast-foodach, pełne popielniczki i puste butelki po piwie.

Westchnęła, obróciła się na drugi bok, poprawiła poduszkę. Nie mogła wprost uwierzyć, że ten niechlujny pijaczyna to ten sam człowiek, który wtedy przyszedł jej z pomocą. Zamknawszy oczy, przywołała w pamięci tamte wydarzenia, gdy ujrzała go po raz pierwszy. Miała napisać artykuł do gazetki szkolnej.

- Hej tam! Czy aby nie zbłądziłaś?

I salwa śmiechu.

O Boże, co oni jej zrobią? Banda pijanych nastolatków. Sprężyła się, by dać im odpór.

Zbliżali się gromadą. Przeraziła się. Sytuacja była naprawdę groźna.

- Czego wy tu chcecie? - dobiegł raptem jej uszu niski, męski głos.

Wstrzymała oddech. To był on. Mark Malone. Biała kowbojska koszula opinała jego muskularną pierś, a skórzane buty sięgały końca ud. Audrey zamarła.

- Nie twoja sprawa! - odkrzyknął któryś z łobuzów.

Mark Malone popatrzył w ich stronę, zahaczył spojrzeniem o Audrey, po czym w jednej chwili chwycił za kołnierz tego, który się odezwał. Uniósł go w górę i warknął przez zaciśnięte zęby:

-Ja, ujeżdżając byki, zarabiam na chleb. Wiesz, co to znaczy?

Chłopak wybałuszył oczy i kiwnął głową z zapalem.

- A znaczy to tyle, że nie zależy mi na życiu, kapujesz?

Postawił chłopaka na ziemi i cofnął się o krok.

Gdy zbliżył się, Audrey poczuła zapach jego wody kolońskiej.

Spojrzała w głąb jego błękitnych oczu.

A on zdjął kapelusz, demonstrując urodę swoich włosów, brązowych, falujących.

Jakże chciała być wtedy piękna i szczupła jak jej siostry!

Gdy zebrała się na odwagę i podała mu dłoń, poczuła dreszcz przenikający jej ciało.

- Odprowadzę cię. Ile masz lat? - zapytał.

- Szesnaście - odparła wpatrując się w ziemię. - Dziękuję ci za to... - urwała, przełknęła ślinę i dokończyła myśl: - Za to, co zrobiłeś. Uratowałeś mnie.

Milczał, więc spojrzała na niego pytająco. W jego oczach dostrzegła zmęczenie.

- Od ratowania są bohaterowie, nie ja - rzekł. - Nie uważasz?

Zmarszczyła brwi wobec jego sarkastycznego tonu. Położył jej dłoń na ramieniu. Żar płynący z jego dotyku przeniknął ją od stóp do głów.

- Mark! - rozległ się głos z dość bliska. - Mark, robi się późno, skarbie, a obiecałeś zaprowadzić mnie do Billyego Boba.

Cofnął dłoń z ramienia Audrey i obejrzał się na stojącą za nim piękną brunetkę. Obrzucił też wzrokiem Audrey, wzruszył ramionami i uścisnął jej rękę zdawkowo.

- Wszystko gra? - zapytał.

Skinęła głową, a on powtórnie uścisnął jej rękę, uśmiechnął się i oddalił niespiesznie.

Teraz wrócił. W innym czasie. W innym świecie. Wziął ją w ramiona i złożył na jej ustach namiętny pocałunek.

Audrey przytuliła go do siebie, ale przeszkodziło jej jakieś buczenie. Obudziła się. Wyłączyła budzik. Godzina czwarta. Trzeba się zabrać za śniadanie.

Mark obudził się tuż przed świtem, kości go bolały od niewygodnej pozycji. Niech to szlag! Kurcz. Pochylił się, ujął dłońmi prawe udo. Poszedł do łazienki po aspirynę. Zapalił światło, blask poraził go, zmrużył oczy. Przemył twarz wodą, zrobił minę do swego odbicia w lustrze. Oczy miał zaczerwienione.

To jasne, dlaczego ta dziewczyna nie poznała w nim Samotnego Kowboja. Sam musiał przywyknąć do swego wyglądu. I nie ma się co dziwić, że budzi w Johnie odrazę. W sobie

zresztą też.

Połknął proszek i wyszedł z łazienki. Usiadł na łóżku i patrzył, jak świt przedziera się przez zasłony. Wciąż miał w pamięci smak jej ust, jej pełne piersi i płynącą od niej falę odurzającego zapachu. Nie ma mowy, by zasnął ponownie.

Do diabła, czyżby on rzeczywiście napastował w nocy tę kobietę? Zrobił z siebie dumia. Doprowadzi się do porządku, odszuka ją i przeprosi. Wyprostował się, przeszył go ból, jęknął i chwycił się za głowę.

Poczekaj z przeprosinami, aż aspiryna zacznie działać.

Audrey schodziła po schodach powoli, z namysłem. Gdy weszła do kuchni, wspomnienie pocałunku Marka stało się jeszcze bardziej dojmujące. Mimo że był pijany. Wstrząsnął nią dreszcz, gdy poczuła, jak bardzo jej pragnie. Nie sprawiał wrażenia mężczyzny z kompleksami.

Wróciła do rzeczywistości i skoncentrowała się na parzeniu kawy. Z jakiej okazji pił ubiegłego wieczoru? Nigdy nie przepadał za towarzystwem. Podobno nawet za młodu. Z paru przeprowadzonych z nim wywiadów dowiedziała się, że przekazywał dzieciom własne doświadczenia dotyczące rodeo oraz że przyjmował na swoje rancho wysłużone byki.

Wsunęła blaszkę z bułkami do piecyka, otworzyła lodówkę. Puszki z piwem odsunęła na bok i sięgnęła po jajka.

Pomyślała, że Mark w wieku niespełna trzydziestu lat miał za sobą długą karierę ujeżdżacza byków. Nawet bez wypadku zasłużył już na emeryturę. Ciekawe, jakich on doznał obrażeń?

Musi zapytać o to i o inne rzeczy. Może przeprowadzi z nim wywiad podczas śniadania.

- Dzień dobry. - W progu stanął starszy człowiek o haczykowatym nosie. Dotknął kapelusza powitalnym gestem i starannie wytarł buty. - Witam w Double M - powiedział odchrząknawszy. - Ja jestem John Walsh, służący, zarządca, jak kto woli. Chyba to z panią wczoraj rozmawiałem, prawda?

- Tak, dzień dobry. - Popatrzyła na mężczyzn stojących za nim na ganku. - Wejdźcie, siadajcie. Zaraz będzie śniadanie.

John uniósł brwi, uśmiechnął się i wkroczył do kuchni.

Audrey przygotowała jajecznicę, wyciągnęła bułki z piekarnika. Tymczasem mężczyźni kolejno wycierali starannie buty.

- Pani pozwoli, że dokonam prezentacji. - John wskazał na sześciu chłopów stojących wokół stołu kuchennego. - Chłopaki, to jest pani Audrey Tyson. A to Jim. Niech pani na niego uważa, bo może zaplamić sosem obrus.

- Ńdobry pani. - Zsalutował dwoma palcami. Następny był Dalt. Blondyn, brązowe oczy, dolki w policzkach. Ujął obie jej dłonie i podniósł do ust.

- Miło mi panią poznać - rzekł z wyraźnie południowym akcentem.

- Dość tego, chłopaki - warknął John. - Możesz czarować tę panią w godzinach wolnych od pracy!

W miarę upływu czasu Audrey doszła do wniosku, że słowo chłopaki niezbyt pasowało do prezentowanych modeli. Jeśli idzie o dziewczyny, to wyróżniała się Ruth. Miała sześć stóp wzrostu i kręcone czarne włosy. Mimo makijażu wyglądała groźnie.

Gdy ceremonia dobiegła końca, Audrey pomyślała, że oto ma przed sobą grupę ludzi, którzy mniej lub bardziej zasługują na miano kowbojów.

Podawała do stołu - kielbasa, jajecznica, sos - a piękny pies collie dreptał przy niej i zawzięcie kręcił ogonem.

- Curley! - krzyknął John. - Wynoś się z kuchni!

- Nie przejmuj się, łasuchu - szepnęła Audrey. - Dostaniesz swoje śniadanko.

Wszyscy usiedli wokół stołu. Audrey nalala kawę do kubków i zapytała jakby nigdy nic.

- Jak oceniacie pracę u sławnego Samotnego Kowboja?

Zapadła cisza jak makiem zasiał.

Mają pełne usta, pomyślała. Trzeba chwilę zaczekać. Minęła jedna chwila, druga. Wszyscy patrzyli w stół. No tak, może trzeba im podpowiedzieć, uznała.

- Zrobił karierę - zaczęła. - Tyle zdobył nagród. A zaczął jeździć dopiero po szkole.

Jim spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Jesteś fanką rodeo? - zapytał.

Skinęła głową.

- Tak. Mój ojciec też zdobywał nagrody.

- Naprawdę? A jak się nazywał? - zapytał Dalt.

- Słyszałeś o Glennie Tysonie?

- Nie. A Tyson to twoje panięskie nazwisko? - zapytał. - Nie nosisz obrączki. Nie jesteś chyba mężatką, mam rację, skarbie?

Dalt się nią interesuje? Trzeba skierować rozmowę na osobę Marka.

- Pracuję dla Samotnego Kowboja - powiedziała. - On nie jest żonaty, prawda?

O, Boże, po co ona zadała takie pytanie?

Jim prysnął kawą, wszyscy zachichotali. Ruth spojrzała na nią jak na jakąś zjawę, otworzyła szeroko usta, zmarszczyła czoło.

- Audrey, skarbie, nie trać czasu na próżno - rzekła.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Że on ma dziewczynę, tak?

Ruth potrząsnęła głową.

- Przepracowałam sporo czasu w Double M i wiem, że Mark nigdy nie chodził z żadną dłużej niż parę miesięcy. Umawiał się, ale z żadną się nie wiązał.

- A ty? - Audrey bardzo chciała zdobyć jakieś informacje.

- Mnie on sercowo nie interesuje, skarbie. Tylko jego krowy. - Uśmiechnęła się i wstała. - Chyba pora do nich iść, nie uważacie?

Uśmiech zniknął z ust Audrey. Mnie też on sercowo nie interesuje, tylko koleje jego losu, pomyślała. Zakrzętała się i wręczyła ludziom paczki z drugim śniadaniem, przygotowane już uprzednio.

Wyszli, a ona, stojąc w porannym chłodzie na ganku od podwórza, pomachała im dłonią.

Co skłoniło ją do takiej decyzji? Skąd nadzieja, że jej się uda?

Czyste szaleństwo.

Przez dwa lata pracy czekała biernie na okazję. Koniec. Dość tego. Trzeba działać. Znaleźć cel i dopiąć swego. Determinacja. W dwudzieste czwarte urodziny zdała sobie sprawę, że dłużej tak nie można, musi wziąć los w swoje ręce.

Musi - teraz, tutaj - być cierpliwa. Umieć czekać. Zdawała sobie sprawę, że mistrz rodeo to człowiek bardzo skomplikowany. A ona, Audrey, jeśli chce o nim napisać, powinna zgłębić całą wiedzę o nim. Może ma na swoim koncie także jakieś ciemne sprawy, awantury, nadużycia...

Musi napisać o nim dobry artykuł i ma nadzieję, że tych ciemnych sprawek w jego przeszłości nie odnajdzie. Ten bohater malował się jej w samych świetlistych barwach. I nie chciałaby stracić go z piedestału, na jakim sama go postawiła.

Uporała się wreszcie ze zmyciem naczyń po śniadaniu i postanowiła, zanim weźmie się za obiad, zrobić małą przerwę. Nalała sobie mrożonej herbaty i usiadła na ganku. Wdychając wonne powietrze, słuchała śpiewu ptaków i szumu poruszanych przez wiatr gałęzi. Starła się o nim nie myśleć.

Przymknęła oczy. We Wschodnim Teksasie panuje taki spokój, myślała. A może życie z dala od miasta nie byłoby takie złe? W końcu do Tyler jest tylko trzydzieści mil, gdyby zachciało jej się iść do kina.

Uspokój się, myślała. Przyjechałaś tu tylko na dwa tygodnie.

Zarejestrowała dochodzące z kuchni dźwięki. Uchyliła drzwi, zajrzała i zamarła z wrażenia. Mark stał na środku kuchni, we własnej osobie, z niepewną i zdziwioną miną, przystojny jak zawsze.

Włosy miał mokre po prysznicu, był w džinsach i flanelowej koszuli. Nieogolony, ale mimo to cholernie sexy. Emanował męską siłą, energią i Audrey czuła ogarniającą ją falę podniecenia. Jednak w oczach - wolałaby tego nie widzieć - miał ból.

- Dzień dobry - powiedziała, przywołując uśmiech na twarz.

Pierwsze, co rzuciło się Markowi w oczy, to jasne włosy, błyszczące w słońcu, co sprawiało wrażenie aureoli. Czy to ta sama dziewczyna z wczorajszego wieczoru? Uśmiechała się do niego. Kiedy ostatnio kobieta się do niego uśmiechała? W jej dużych zielonych oczach

dostrzegł cień zaciekawienia.

Po wczorajszym wieczorze...

Mark poczuł się głupio. Nie wiedział, co powiedzieć.

- Przepraszam. - Chrząknął. - Za wczorajszy wieczór.

Uśmiech znikł z jej ust, przygryzła dolną wargę

- To ja przepraszam, że... cię kopnęłam.

- Drobiazg, zasłużyłem na to.

Zwilżyła usta, skrzyżowała ramiona. Czy zdawała sobie sprawę, jak to działa na mężczyznę?

Jego nowa gospodyni nie porażała urodą. Miała dość pospolite rysy twarzy. Ale usta - pełne, zmysłowe, i zielone, błyszczące oczy.

Niewielkiego wzrostu, zgrabna. Dopasowany T-shirt podkreślał piękną linię jej pełnych piersi.

Zawsze lubił kobiety przy kości. I oto miał przed sobą niewiastę, którą miałby ochotę pieścić, wtulić głowę w jej krągłe kształty.

Niech to szlag! Poczuł, że jest gotów aż do bólu. Najlepszy dowód, że od dawna nie miał kobiety.

- Zrobiłam coś nie tak? - zapytała z błyskiem w oczach.

- Skądże, tylko... - Weź się w garść, Malone. Głęboki wdech i przestań gapić się na jej piersi. - Zostało coś może ze śniadania? - zapytał.

- Oczywiście. - Zmieszała się, poprawiła włosy. - Zaraz przyniosę.

- Mogę sam sobie wziąć.

Ignorując jego dobre chęci, podskoczyła do lodówki, wyjęła talerz z łazankami, kiełbaski, sos.

- Mogę zaraz zrobić jajecznicę,

I już rozbijała jajka na patelnię.

- Zrobiło się tyle jedzenia, jak dla dobrych paru kowbojów.

Mark wdychał zapach domowych łazanek. Co za aromat! Nie pamięta, kiedy ostatnio jadł tak zdrowo i obficie. Przyniósł sobie krzesło i usiadł, obserwując nową gospodynię. Nieźle go wczoraj wieczór przeciwoczyła. Uśmiechnął się

- Uszkodziłeś sobie nogę podczas upadku?

Stała tuż, tuż wpatrując się z z troskaniem w jego prawą nogę.

Cholera, pocierał ją odruchowo! A nie chciał w nikim wzbudzać litości.

- Nie masz nic do roboty? - burknął. - Posprzątać, umyć naczynia?

Była wyraźnie urażona. Przetawiła patelnię na płycie i z podniesioną głową wyszła z kuchni.



Do diabła, to przez niego! Nie lubił, kiedy kobiety się dąsają. Jej mina złościła go. Keith też miał taką oskarżycielską minę, kiedy Mark odchodził z domu. Wtedy po raz ostatni widział swego młodszego brata.

Mark sięgnął pamięcią do dawnych lat. Ale nie zamierzał myśleć o pannie Parky. Cholera, powiedział jej, że sam da sobie radę, że nie musi się fatygować. A to dlatego, że miała piękny uśmiech i nie patrzyła na niego z odrazą, ale poza tym była taka jak inne kobiety.

Chyba specjalnie wywołała u siebie to drżenie dolnej wargi, żeby nim manipulować. Przypominała mu jego matkę, która miała jeden romans po drugim. Dlaczego ta miała być inna niż wszystkie?

Spojrzał na talerz z łazankami w sosie i ledwo pokonał w sobie chęć rzucenia nim o ścianę. Marzył o piwie.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Audrey przyłożyła ręcznik do rozpalonej twarzy, by nikt nie widział jej łez. Jak mogła się ludzi choćby przez chwilę, że spodoba się Markowi. Niby dlaczego? Umawiał się przecież z najpiękniejszymi kobietami świata. Tej nocy, rzecz jasna, wyobraził sobie, że ona to nie ona.

Ale to wcale nie oznacza, że musi chować się w łazience jak skarcone dziecko. Skąd u niej ten niepokój? Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby ten prymitywny kowboj ją odtrącił. Ją, dwudziestopięcioletnią gospodynię. Nie była już tą grubą dziewczuchą jak wtedy, gdy spotkali się po raz pierwszy. No, nie tak grubą. I stawiała czoło swemu szefowi, otóż to.

Kiedy przedłożyła mu pomysł na reportaż, pan Burke roześmiał się sardonicznie.

- Ho, ho, nie uważasz, że jeszcze do tego nie dorosłaś? Za parę miesięcy mogłabyś zamieścić coś w kolumnie „Porady”.

Wiedziała, że to obiecanki cacanki, aby ją zbyć. Jedyne wyjście to zagranie najmocniejszą kartą.

- Tak to widzę, panie redaktorze. Jeśli nie przedstawię panu reportażu o tym, co przydarzyło się Markowi Malone, ograniczę się do tej kolumny. Jednakże... - Pochyliła się do przodu i spojrzała mu badawczo w oczy: - Jeśli wywiążę się z tego zadania, poproszę pana o awans na dziennikarza- reportera.

Pan Burke uniósł w górę rękę na znak, że się poddaje.

- No dobrze. Jeśli napiszesz dobry artykuł o Samotnym Kowboju, awans masz w kieszeni.

Wspominając tę scenę, ruszyła do kuchni. Właśnie wtedy wejściem od tyłu wkroczyli do środka John Walsh, a za nim szczupła pani o siwych włosach upiętych w kok z tyłu głowy. Była w dżinsach i koszuli typowej dla Zachodu.

- Pani pewno jest Audrey - powiedziała ta niewiasta z życzliwym uśmiechem, uwidaczniającym lekko krzywe zęby. - A ja mam na imię Helen, jestem żoną Johna.

- Miło mi panią poznać. - Audrey odwzajemniła uśmiech. - Czy napije się pani mrożonej herbaty?

- Co za pytanie! Jakbyś pytała byka, czy chce jałówki - wtrącił John siadając na krześle.

- John! - Helen potrząsnęła głową i spojrzała wymownie na Audrey. - Już prawie pół wieku usiłuję go poskromić i nic z tego nie wychodzi.

John ucałował dłoń żony.

Wciąż są w sobie zakochani, pomyślała Audrey. Po pięćdziesięciu latach! To naprawdę piękne.

- Dom jest w strasznym stanie - mówiła Helen do Audrey, gdy ta nalewała jej herbatę. Zawahała się i spojrzała na męża pytająco. - Rekonwalescencja Marka przebiega bardzo

powoli i sama pani widzi, jak bardzo potrzebna mu jest dobra gospodyni

Powoli? pomyślała Audrey. Teraz więc mam szansę dowiedzieć się czegoś więcej.

- Doznał poważnych obrażeń? - zapytała.

Helen utkwiała wzrok w stole.

- Prawą nogę miał w strasznym stanie...

- Okropne - mruknęła.

Temat do rozmowy z Markiem. To będzie reportaż jej życia.

- Trzy tygodnie w szpitalu, potem rehabilitacja. Dopiero po dwóch miesiącach mógł chodzić.

Stąd emerytura... Nie było innego wyjścia.

- Panie sobie porozmawiają - rzekł John wstając. - A ja do pracy.

- Myślałam, że wprowadzisz Audrey w sprawy tego domu - powiedziała Helen.

- Nie mam czasu. Mark sam to zrobi.

Audrey usłyszała kroki za sobą i ujrzała stojącego w drzwiach Marka, z piwem w ręku.

Zerknął na Johna, po czym wszedł i pocałował przelotnie Helen w policzek.

- Jak się czujesz?

- Dobrze. - Podążyła za Johnem, ale w drzwiach zatrzymała się. - Życzę wam miłego popołudnia. - Pokiwała im ręką z uśmiechem i wyszła.

Audrey również postarała się o uśmiech. Mark spojrzał na nią i wyjął z lodówki butelkę piwa. Wskazując na drzwi, powiedział:

- Twoje zdrowie.

- Double M to ponad pięć tysięcy akrów i ponad tysiąc dwieście sztuk bydła - powiedział Mark przemierzając dziedziniec. Jeszcze jeden haust piwa. - Wiosną zatrudniamy dodatkowo kilka osób. Na ogół Jima, Ruth i Johna.

- No i ty - wtrąciła Audrey starając się dorównać mu kroku.

Mark zmarszczył brwi i wsunął rękę do kieszeni.

- Już nie - mruknął. Popijając piwo, skierował się w stronę stodoły.

Podreptała za nim, chcąc wydobyć od niego więcej informacji.

- Dlaczego chcesz to sprzedać? - zapytała.

Przyspieszył kroku, znów łyknął piwa i udawał, że nie słyszał pytania. Przy wrotach stodoły zatrzymał się i spojrzał na nią z irytacją.

- John mówił mi, że pracujesz w Dallas. Co robisz tutaj, w tej rolniczej okolicy?

Nie odrywał od niej świdrującego spojrzenia. Otworzyła usta, ale żadne słowo nie padło. Chciała być w tym, co powie, jak najbliżej prawdy.

- Mój wujek jest właścicielem przedsiębiorstwa. Ale ja już u niego nie pracuję. Przeczytałam ogłoszenie, że potrzebna jest gospodyni, i... - Przerwała, opuściła wzrok. - Zawsze

byłam wielką fanką...

Mark obrócił się w stronę stodoły.

- Trzymamy tam siano dla koni, a tutaj jest stajnia.

Zawrócił.

Ale Audrey minęła go i pobiegła do stodoły. Zapach siana przypominał jej ojca. Ze smutnym uśmiechem szła przez klepisko...

Gdy dołączyła do Marka, ten powiedział:

- Dzieci lubiły bawić się w stodole. Dzieci? Spojrzała na niego.

- Masz dzieci?

Zmarszczył czoło tak, że brwi stanowiły jedną prostą linię.

- Przybrane. Idziemy? - zapytał ucinając temat.

Audrey, acz z niechęcią, podążyła za nim. Słyszała, że pomaga innym, łoży na domy dziecka, i podziwiała go za to. Nie wiedziała jednak, że przyjmuje dzieci na swoje rancho. Nie wspomniał o tym w żadnym wywiadzie. No, nareszcie ma ciekawy materiał do swego o nim artykułu.

Doszli do ganku od tyłu, Mark zasalutował jej butelką piwa i skierował się do frontowego wejścia.

Zrobiło się jakoś dziwnie cicho po jego odejściu. Audrey zadrżała. Paskudnie z jej strony, że go oszukuje, ale przecież nikomu nie robi tym krzywdy. Chce po prostu napisać o nim artykuł, o losach słynnego mistrza rodeo, zyskać tym aplauz dla siebie i zapoznać czytelników z jego obecnym życiem.

Musi wyzwolić się z tego idiotycznego poczucia winy.

Poszła do swego pokoju, spojrzała tęsknie przez okno, na zaniedbaną sadzawkę, podwórze, stodołę, jakąś zagrodę w oddali. I jeszcze dalej, na linię lasu na horyzoncie.

Obróciła się, ogarnęła wzrokiem swój ponury pokój. Serce jej ścisnął żal i pomyślała, co można by z niego zrobić - i z jego właścicielem. Ściany obudowane jasną boazerią, szerokie drzwi na korytarz wiodący do sypialni, kominek pośrodku, tak samo zimny i opuszczony jak cały ten dom. Jedyne meble w tym pokoju to poprzecierany fotel i wielki telewizor.

Jeśli chciałaby coś z tym zrobić, trzeba by zacząć od uprzątnięcia bałaganu w całym domu. Porządna gospodyni zaczęłaby od posprzątania pokoju Marka, a potem kolejno jeden pokój za drugim. Jutro rano zabierze się do roboty, pomyślała.

Tego wieczoru przy kolacji dowiedziała się bardzo dużo o prowadzeniu rancza. Temat obrączkowania bydła, szczepienia, kastracji był główną osią dyskusji.

Jeden z młodszych kowbojów, Pete, usiadł na krześle obok niej. Przysunął się do niej i położył głowę na jej ramieniu. Kładąc to na karb jego tułaczego stylu życia, postarała się nie reagować. Za każdym jednak razem, gdy jej dotykał, odczuwała przemożną potrzebę kąpieli.

- Smaczne jedzenie, proszę pani! - krzyknął Jim z drugiego końca stołu. - Jak się jest z bydlęm

cały dzień, to przyjemnie zjeść kolację w miłym towarzystwie.

W pewnym momencie przyszło Audrey do głowy, że w tej sytuacji na pewno straci parę kilogramów.

- W życiu nie jadłem takich pysznych kotletów - poparł go Dalt z uśmiechem.
- Dziękuję - rzekła również z uśmiechem. - Mam swoje kulinarne tajemnice.
- Mark uwielbia wieprzowinę - mruknął John.

Marka znów nie było przy stole i Audrey martwiła się, że nic nie je. Ale co to ją obchodzi w gruncie rzeczy? John dał jej jednak pretekst do wypowiedzi na temat pana domu.

- Pan Malone od wypadku bardzo się chyba zmienił, prawda? - zapytała.

John zmarszczył brwi i całą swoją uwagę skupił na talerzu.

Audrey nie dała się zbyć.

- Czy doznał tylko urazu prawej nogi? - I dalej: - Co zamierza zrobić po sprzedaży rancza?

John spojrzął na nią niechętnym okiem.

A może ona powinna wykazać zaniepokojenie ogólnym stanem jego zdrowia? Co ma robić?

- On widocznie nie ma apetytu. Może trzeba zanieść mu kolację?

Jak na komendę wszyscy wybuchli śmiechem.

- Chyba że z dostawą whisky - powiedział Jim chichocząc, co Audrey przyjęła z wyraźną dezaprobatą.

- Nie wiem, co w tym śmiesznego, że człowiek co wieczór upija się do nieprzytomności. Powinniście zachęcić go, by wziął udział w akcji AA.

To ich trochę wyhamowało.

- Za przeproszeniem, pani Audrey, ale Mark jest dorosły i sam powinien wiedzieć, co ma robić. Poza tym – ciągnął z uśmiechem - wygrywam z nim sporo forsy, więc na zmianie sytuacji mi nie zależy.

Ruth musiała zauważyć speszoną minę Audrey, bo rzekła:

- Niektórzy z nas grają po nocach w pokera - wyjaśniła. - Pani może nic nie słyszeć, bo mieszka na górze.

To by tłumaczyło ten bałagan w jadalni. Poker! Nie wiedziała, co na to powiedzieć, mruknęła więc, że ma mocny sen i zaczęła sprzątać ze stołu.

Z niejakim poczuciem winy mężczyźni i Ruth podziękowali jej i wyszli.

Gdy wstawiała naczynia do zmywarki, przyszła jej do głowy pewna myśl. Jej artykuł stałby się sensacją, to prawda, ale skoro ona nie chce narazić Marka na pośmiewisko, to nie może przedstawiać światu problemów, z jakimi on się zмага.

Z tacą pełną talerzy i talerzyków z mięsem, kartoflami, szarlotką zapukała do drzwi sypialni swego chlebobawcy. Cisza, Zapukała znowu. Mocniej.

- Daj mi spokój! - usłyszała zniecierpliwiony głos.

Wykrzyknęła przez drzwi.

- Przyniosłam panu kolację!

Cisza.

Zaczerpnęła oddechu i ramieniem otworzyła drzwi.

Mała lampka stojąca na szafce przy łóżku zakreślała krąg mętnego światła. Reszta pokoju pogrążona była w mroku. Jedyne meblami były tu staroświeckie łóżko i stojąca przy ścianie toaletka. Na podłodze stały puste butelki, brudne szklanki, leżały części garderoby. Jak można tu żyć, pomyślała Audrey.

Mark siedział na brzegu tego królewskiego łóżka, był tylko w slipach. Łokcie wsparł na kolanach, dłońmi ujął czoło. Piers miał owłosioną, mięśnie ramion i ud silnie zarysowane. Nawet nieogolony wyglądał interesująco.

Przestań! - nakazywała sobie w duchu. Jesteś tu po to, by napisać artykuł o Samotnym Kowboju.

Nic nie pomogło.

Mark uniósł wzrok, raz, drugi. Mała ciekawska? Czy nie może uszanować czyjejś prywatności? Zakrył nogę prześcieradłem. Widziała?

- Czego chcesz? - zapytał. Wskazała głową tacę.

- Przyniosłam ci kolację. Powinieneś coś zjeść.

- Nie jestem głodny.

Głowa go bolała, noga bolała - nie chciał jej litości.

- Czy aby na pewno? - Podeszła bliżej. Zapach potrawy dotarł do jego nozdrzy. - John powiedział, że lubisz kotlety.

No jasne, rozgniewał się. John wszystko jej wypaplał.

- Nie. - Sięgnął po butelkę piwa na szafce.

- Po co pijesz? Picie nie rozwiąże twoich problemów.

- Słuchaj, moja droga. - Jego ręka zawisła w powietrzu. - Nic nie wiesz o moich problemach i nie wtrącaj się.

- Mam na imię Audrey - powiedziała, stawiając tacę na łóżku. Podeszła do stołu i zgarnęła butelki po piwie. - Umyję je - rzekła.

Mark skrzywił się. W brzuchu mu burczało. Potrzebny mu był jeden łyk, żeby się pozbierać. Odchylił się i chwycił butelkę, w której było jeszcze trochę trunku.

Cholera! Znowu tak na niego spojrziała. Zielone oczy. Pełne usta. Wyciągnął rękę, dotknął jej gładkiego policzka.

Pomyślał przez chwilę, że ona czuje to samo co on. Przymknęła oczy. Rozchyliła usta. Ale zaraz cofnęła się i burknęła coś pod nosem.

Niech to szlag! Co też przychodzi mu do głowy?! Odwrócił wzrok, sięgnął po piwo.

- Stop! - krzyknęła. - Masz piękne ranczo, przyjaciół, a ty tutaj biadolisz nie wiedzieć po co i w piwie topisz smutki. Jeszcze kawał życia przed tobą.

Zgromił ją spojrzeniem.

- Szanowna pani - zaczął. - Jeśli zachce mi się kazań, pójde do kościoła. - Sięgnął po butelkę.

- Proszę, i oto człowiek, którego tak podziwiałam - rzekła.

Co ona sobie myśli, do licha!

- Ja już nie jestem Samotnym Kowbojem - powiedział i napiął mięśnie nogi, aż przeszył go ból. - Nie mogę chodzić.

- Daj spokój. - Przeszła dookoła pokoju. - Sęk w tym, że ty właśnie możesz chodzić. I masz dwie silne ręce. - To mówiąc, zgarnęła serwetkę razem z butelką - Możesz robić, co ci się żywnie podoba.

- Dość tego - rzekł.

Może zniósłby te uwagi od Johna, ale nie będzie wysłuchiwał morałów od jakiejś tam zrządzącej gospodyni, choćby to i owo miała niezłe.

- Żadnych dość! - nie dawała za wygraną. - Mój szwagier choruje na SM. Choroba ta atakuje mięśnie i on z każdym dniem traci władzę w rękach i nogach. Jeździ na wózku. Z trudem mówi, z trudem połyka. Nie chce już żyć, choć ma syna. - Stała przed nim wymachując serwetką. - A mimo to nie lituje się nad sobą i nie załamuje rąk. - Patrzyła na niego ze zmarszczonymi brwiami.

Mark też nie spuszczał z niej oczu. Jej szwagier umiera? Jak ona powiedziała? SM? I ten biedak ma syna? Cholemy świat!

Uświadomił sobie, że wciąż trzyma w ręku butelkę. No, jeden mały łyk. Nie zdążył.

- Co, do diabła?!

Ten tyran w spódnicy pobiegł do łazienki i Mark usłyszał po chwili plusk wylewanego płynu. Oniemiał z wściekłości, a po paru sekundach wybuchł jak wulkan, miotając sprośne przekleństwa.

Wyszła z łazienki. Blask triumfu rozświetlał jej twarz.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Rzenie konia wdarło się do jej snu. Audrey wygramoliła się z łóżka, chwyciła szlafrok i zbiegła po schodach, a potem skierowała kroki tam, skąd dobiegał krzyk. Czy matka znowu ma atak?

Audrey stanęła, przetarła oczy i jakby oprzytomniała. Jej matka zmarła przed jedenastu laty, a ona, Audrey, jest w Double M.

Śniło jej się, że ktoś wzywa pomocy. Podeszła na palcach do drzwi i zaczęła nadśluchiwać. Kiedy nie usłyszała nic prócz ciszy, chciała już odejść.

- Nie! - rozległ się czyjś zduszony głos.

Otworzyła drzwi. W dobiegającym z łazienki świetle dostrzegła na łóżku zarys jego postaci. Sprawiał wrażenie, że śpi. Twarz, która wyrażała taki ogrom cierpienia, błyszczała od potu. Jęczał głucho. Był to zupełnie inny człowiek niż pewny siebie pijak z ubiegłego wieczoru.

Czy on przeżywał znowu tę noc, gdy byk pogruchotał mu nogę? Albo może przywoływał w pamięci jakąś inną straszną rzecz ze swego życia?

Sięgnęła dłonią, by zgarnąć z jego policzka pasmo włosów. Lecz ręka jej zawisła w powietrzu.

Odrzucił ją z przekleństwem.

Był zlany potem, trząsł się. Nękały go jakieś zwidy, myśli, których nie mógł się pozbyć.

Matka krzyczała. Mark zaciągnął Keitha do sąsiedniego pokoju. Był tam tylko jego brat, który nie zdawał sobie sprawy, co się dzieje. Mark zobaczył przez okno światła wozu policyjnego. Sanitariusz krzyczał - On żyje! - podczas gdy gliniarze zakuwali ojca w kajdanki. Ojciec nigdy już nie wrócił do domu.

Mark wiedział, że to jego wina.

- Nic ci nie jest? - usłyszał czyjś miły głos.

Uchylił powieki i zobaczył zarysy jakiejś postaci. Audrey. Co ona tu robi? O, Boże, czy on jęczał przez sen?

- Nie, czuję się świetnie.

- Mogę coś dla ciebie zrobić?

Też coś! Znalazła się samarytanka!

- Nie, dziękuję, wszystko w porządku.

Zamknął oczy. Myślał, z jaką przyjemnością wyrzuciłby te wszystkie pigułki, jakie lekarz mu zapisał. Oszalałaby go, a wołałby teraz mieć trzeźwy umysł.

Piwo. Pragnął piwa i aspiryny.

Odrzucił kołdrę, opuścił nogi na podłogę, ale ona wciąż tu była.

Dlaczego nie poszła sobie? Nie za wiele widział, ale to, co zobaczył, poraziło go. Jej krągłości widoczne przez szlafrok. Przynajmniej nie będzie rozmyślał o nawiedzających go



nocnych zmorach.

- Słyszałam, że krzyczałeś. Może chcesz pogadać?

Brzmienie jej głosu podnieciło go jeszcze bardziej.

- Chcesz mi pomóc? - Stał z dłońmi wspartymi o biodra. - Pocałuj mnie i przegnaj złe myśli z mojej głowy.

Opuściła oczy i wyszła szybko z pokoju. Wołał ją.

- Czego się spodziewałaś? Bohatera?

Wstał przemagając ból, zaczął wciągać dzinsy. Czuł cały czas jej zapach, gdy kierował się w stronę stajni.

Zapalił światło, wziął szczotkę, owies w worku i ruszył do koni. Minęło parę dni od czasu, gdy dosiadał swego rumaka. Samotna Gwiazda domagała się pieszczoty.

- Jak się masz, staruszek. - Podosypał jej owsa. Widać było, że jest jej absolutnie obojętne, że to dopiero trzecia nad ranem.

„Może chcesz pogadać” - przypomniał sobie. Co ona wie, do diabła? Żadna gadka tu nie pomoże. Męczą go koszmary, odkąd postąpił tak z matką. A to, że opuścił brata, jeszcze ten stan pogłębiło.

Przejechał szczotką po grzbiecie Gwiazdy.

- Było nam dobrze razem - powiedział do klaczy. - Przez chwilę mogłem udawać, że jestem kimś innym. - Podrapał ją za uchem. - Dobrze cię tam traktowali? - Gwiazda pochyliła łeb i dotknęła nosem jego czoła. Mark sprawdził jej kopyta. Raptem poczuł dojmujący ból w nodze. Chwycił się szyi konia, żeby nie upaść. - Niech to szlag trafi!

Gwiazda zadrżała, gdy on wsparł głowę o jej szyję.

- Powiniennem cię sprzedać, mała - szepnęła. - Bo wpędzasz mnie w ruinę.

Kierując się do domu, czuł, jak noga mu pulsuje. Minął już stodołę, gdy owionął go zapach... cytryny. Cholera! Obejrzał się: Audrey stała wsparta o wrota niczym więzień o bramę, za którą jest wolny świat.

- Co ty tu robisz?

Postąpiła krok do przodu, trzymając obiema rękami skraj sukienki.

- Martwiłam się o ciebie.

- O mnie?

Kobiety nigdy się o niego nie martwiły. Interesowały się tylko jego pieniędzmi i sławą.

- Tak trudno ci w to uwierzyć? Skrzyżował ramiona na piersi.

- Owszem, trudno. Byłaś w stodole? Skinęła głową.

- Chyba oboje lubimy odwiedzać Gwiazdę, gdy mamy coś do przemyślenia.

- Szanowna pani ogląda za dużo telewizji.

Ruszył w stronę domu, starając się nie utykać. Za Boga nie zdradzi się przed nią, że ma problem z chodzeniem.

W domu ruszył prosto do barku. Chwycił butelkę i spojrzał na swoje odznaczenia i medale. Narastała w nim wściekłość. Sięgnął na półkę i jednym ruchem zrzucił to wszystko na podłogę.

Audrey obudziła się z dojmującym uczuciem bezsensu. Wieczorny incydent z Markiem wstrząsnął nią do głębi. Nigdy nie zapomni bólu, jaki zabrzmiał w jego głosie.

Było jeszcze szaro, gdy weszła do kuchni, by przygotować jak co dzień, proste śniadanie. Krzątając się myślała, że w tej sytuacji nie ma mowy o napisaniu artykułu, jaki sobie zamierzyła. W ogóle nie wchodzi to w grę.

Mrucząc pod nosem te słowa, usiadła przy stole. Dziewięć lat temu marzyła, że Mark porwie ją, wsadzi na koń i wywiezie daleko, i będą żyli długo i szczęśliwie.

Beznadziejne!

W ciągu tych lat nieliczni mężczyźni, którzy zabiegali o jej względy, chcieli tylko jednego. A ona, gdyby nawet zgodziła się zrobić to na pierwszej randce czy na drugiej, nigdy nie odważyłaby się rozebrać przy nich.

Miała czternaście lat, gdy umarła jej matka, i do niedawna Audrey musiała się troszczyć o swoje dwie młodsze siostry. Miranda już jest po studiach i ma chłopaka, a Claire - męża i trzyletniego synka.

A ona, Audrey, ma tylko swoją pracę.

Czy teraz ma zrezygnować? Dlatego że zadanie okazało się zbyt trudne?

W żadnym wypadku.

Po śniadaniu wzięła odkurzacz, żeby posprzątać w pokoju Marka, który tymczasem usiadł jak zwykle w swoim fotelu. Smutno jej się zrobiło na myśl, że on spędzi kolejny dzień bez ruchu, oglądając w telewizji wiadomości sportowe.

Włączyła odkurzacz.

Mark warknął coś pod nosem, chwycił pilota i wzmocnił głos do granic możliwości aparatu.

Pokonała w sobie chęć rzucenia odkurzaczem w ekran.

Nie tylko Marka dotknęło nieszczęście. Śmierć matki to wielki cios. Ale ona nie narzucała nikomu swojego nieszczęścia.

Nie, nie straci panowania nad sobą. Pomyślała ponadto, że nie musi akurat teraz sprzątać jego pokoju. Schowała odkurzacz i zeszła na dół do holu.

Rozsunęła ciężkie zasłony, które broniły słońcu dostępu. Jak można pozwolić, pomyślała po chwili, by takie piękne łóżko z sosnowego drewna było pokryte warstwą kurzu?

Przywróciła mu urodę. Nad łóżkiem wisiała fotografia małego, mniej więcej ośmioletniego chłopca. Nie przypominał Marka. Jego brat? Przyjaciel z dzieciństwa? Ona, Audrey, nic nie wiedziała o jego

rodzinie. A gdy zapytała o to Johna, spojrział na nią podejrzliwie.

Kątem oka dostrzegła coś. Serce jej zabiło, gdy ujrzała stojącego w drzwiach Marka.

- Co ty tu robisz, u diabła?

Postawiła fotografię z powrotem na toalecie i przesunęła się z odkurzaczem za łóżko.

Patrząc na umięśnione ramiona Marka, biodra w opiętych dżinsach, nie pospieszyła z odpowiedzią. Trudno było się skoncentrować, skoro uwagę jej pochłaniał brązowy zarost na jego klatce piersiowej.

- Odkurzam - odparła.

Uniósł brwi ze zdziwieniem i, już bez zdziwienia, butelkę piwa do ust. Łyknął spory haust, po czym utkwiał wzrok w jej piersiach, a chwilę później zatrzymał spojrzenie na biodrach i udach.

O tym właśnie marzyła. Pożądanie w jego oczach sprawiło, że raptem poczuła się kimś innym, kobietą ponętą, pełną seksu.

W pokoju było gorąco, duszno. Powinna chyba zejść na dół po klimatyzator. Odkurzanie i zmiana pościeli to ciężka praca.

- Czy możesz mi pomóc pognieść znowu tę pościel? - zapytał.

Mgła przesłoniła jej oczy.

- Myślałam, że chcesz obejrzeć telewizję.

- Zmieniłem zdanie - oświadczył.

Skrzywiła się, chciała coś powiedzieć, ale ugryzła się w język.

- No, nie krępuj się, wygłoś mi kolejny wykład jako strażniczka mojej moralności. Ty chyba nigdy nie bierzesz kropli alkoholu do ust!

- Biorę, ale nie od rana.

Zmarszczył brwi, łyknął potężny haust z butelki i wytarł usta rękawem koszuli. A potem chwycił Audrey i przyciągnął do siebie, aż poczuła jego przesycony piwem oddech.

Pochylił się nad nią ze złym błyskiem w oczach.

- Nie próbuj mnie umoralniać. Już cię widzę, jak walczysz o prohibicję razem z innymi jędzowatymi starymi pannami.

Audrey poczuła się tak, jakby ktoś ją uderzył z całych sił. W głowie huczały jej jego słowa: jędzowata stara panna. To prawda. Ale nie odmówi sobie i powie mu parę słów prawdy.

- Nie zamierzam się poświęcać i przez cały dzień znosić twoich humorów...

Pochylił się nad nią.

- Lubię, jak się złości. Twoje oczy rzucają płomienie... - Utkwił wzrok w jej piersiach. - Pragnę cię, kochanie...

O, Boże. Brodawki jej stwardniały aż do bólu. Dostała gęsiej skórki na całym ciele.

- Pójdę sobie - mówiła - i będziesz miał spokój przez cały dzień.

Postawił butelkę na szafce nocnej. Pchnął Audrey i razem upadli na łóżko. Otoczył ją ramionami

i przywarł ustami do jej ust.

- Nie chcę świętego spokoju, dziecinko. Chcę przez cały dzień cię kochać.

Mimo zarostu na twarzy był interesujący - radosny bohater rodeo.

- Masz piękne zielone oczy - mruknął. - Pocałuj mnie, dziecinko.

Jęknęła z rozkoszy, gdy całował jej szyję, ramiona, gdy przytulił ją jeszcze mocniej, a ona poczuła, jak bardzo jej pragnie.

Chyba zwariowałam, myślała. Przed minutą wyzwał ją od starych panien, a ona teraz... Jest pijany, dlatego jej pożąda! Odepchnęła go.

- Nie! - krzyknęła.

Obrócił się, usiadł.

- Co jest?

Zeskoczyła z łóżka i bez tchu uciekła w drugi koniec pokoju. Ale nie była pewna, co w niej przeważa - uczucie upokorzenia czy żal.

- Nawet mnie nie znasz.

Sięgnął po piwo, przeczesał dłonią włosy.

- Co to ma do rzeczy?! Kobiety, które pragną Samotnego Kowboja, też mnie nie znają.

Wypadło to tak, jakby mówił o kimś innym, nie o sobie. - Czy to znaczy...?

On sobie myśli, że nie powiem mu nie, bo jestem grubą starą panną, myślała.

Mark skrzyżował ramiona na piersi.

- Rozumiem - rzekł. - Kaleka nie jest dobry w łóżku. Naprawdę takim torem idą jego myśli? Jak gdyby kochającej kobiecie to przeszkadzało!

- To nie ma nic do rzeczy.

- Oszczędź sobie. Zbyt dobrze znam kobiety.

Audrey chętnie wrzasnęłaby na cały głos. Nie, nie będzie z nim dyskutować, postanowiła w duchu.

- Myśl sobie, co chcesz - zaczęła. - I rób, co chcesz. Zostaw mnie w spokoju i ja ciebie zostawię w spokoju, jasne?

Zakręciła się na pięcie, zgarnęła odkurzacza i wyszła.

Mark przeklął i rzucił butelkę na podłogę. Ma spokój. Tylko z daleka słyszy szum odkurzacza.

No tak. Jest sam. Chciał tego. Czyżby? Tak. Nikt nie będzie go osądzał ani stawiał mu wymagań. Tylko skąd ten ból po jej odejściu? Czego on chce i dlaczego zrobiłby wszystko, żeby została? Co się z nim dzieje, do diabła?!

Wyprostował się. I nic tu nie pomoże kolejna butelka piwa.

Audrey resztę dnia spędziła na sprzątaniu, zrzedzając pod nosem. Nie mogła przestać myśleć o tym, jak bardzo Mark Malone się zmienił. Bohater. Kiedyś.

Samotny Kowboj. Przegrany Kowboj.

Westchnęła. Na wspomnienie bólu, jaki dostrzegła w jego oczach.

Okropny bałagan. Dywan w strasznym stanie. Musi wezwać z najbliższego miasta specjalistę od czyszczenia dywanów.

Dlaczego ci ludzie nie piją i nie palą papierosów na podwórku? Musi porozmawiać o tym z Johnem. Podobno chce sprzedać tę posesję.

Ale może lepiej dać sobie z tym spokój? W ciągu tych trzech dni miała ochotę rąbnąć swego chlebodawcę w jego chorą nogę, groziła mu nożem, prawiała mu kazania na temat picia.

Westchnęła ciężko. Zaledwie dwa tygodnie. Wytrzyma. Nawet z bezczelnym bohaterem rodeo.

Zebrała z podłogi butelki po piwie, spojrzała przez hol do dawnego salonu - bar, półki z kilkoma butelkami wina, spora ilość trofeów poniewierających się na podłodze.

Raptem wspomnienie jego pocałunku wzbudziło w niej dreszcz emocji. On naprawdę ją pocałował. I powiedział, że jest piękna. Chyba piwo zmaćliło mu wzrok. Nadmienił, że pożądanie nie ma związku z tym, czy się kogoś zna, czy nie zna. Chyba to prawda.

Bo w niej on też budził pożądanie.

Był jej chlebodawcą. Lecz nigdy nie przyszło jej nawet do głowy, by oskarżyć go o molestowanie seksualne. Ponadto nie zwolnił jej za to, że wylała mu piwo.

Na myśl o tym skuliła się wewnątrz. Poza tym jakim tonem ona do niego mówiła? Może była za bardzo ostra? Jeżeli ją zwolni, to ona nie ma co liczyć na to, że pozna historię jego życia, jego losy. Ale przecież nie może patrzeć obojętnie, jak on zapija się na śmierć.

Doprowadzi się do kompletnej ruiny. Powinna chyba zwrócić się o pomoc do lekarza. To wprawdzie nie jest jej sprawa, ale ktoś powinien się tym zająć.

Do czego ty się wtrącasz, dziewczyno? Co ci do tego? Jesteś dziennikarką, nie pracownikiem socjalnym. Odpuść sobie.

Łatwiej to powiedzieć niż zrobić. A Mark Malone, bohater czy niebohater, to żywy człowiek. Lecz cała ta sprawa, trzeba to sobie jasno powiedzieć, może zrujnować jej karierę.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Nazajutrz po południu, gdy Audrey szła przez podwórze z naręczem bielizny do prania, usłyszała śmiech dobiegający ze stodoły. Curley rozszczękał się i wbiegł do środka.

Audrey nie mogła się oprzeć, by tam nie zajrzeć. Może w tej wywołującej śmiech atmosferze dowie się czegoś o Marku. Bo ona musi zgłębić tę tajemnicę. Coś się za tym kryje i nie jest to tylko kwestia jego niesprawności. Co stało się powodem takiej jego przemiany? Czy wypadek wszystko w nim zrujnował?

Dobiegły ją głosy z końca stodoły. To Dalt i Jim. Gdy Dalt zobaczył Audrey, podszedł do niej z czarującym uśmiechem.

- Przyłącz się do nas - rzekł. - Trenujemy jazdę na beczie!

- Czy aby nie powinnaś zająć się obiadem? - rozległ się skądś ponury głos Marka.

Obejrzała się. Zobaczyła go nieopodal. Zaczerwieniła się po korzonki włosów. Dlaczego on ją tak traktuje? Dalt podszedł do Marka i powiedział:

- To moja wina. Ja ją zatrzymałem.

Mark patrzył na nią, ignorując Dalta. Oddech miał urywany, w oczach gniew.

Postanowiła nie dać się zastraszyć.

Podeszła do niego. Jego oddech przesycony był piwem. Miał taką minę, jakby karmił ją za niewypełnienie obowiązków.

- Obiad, panie Malone, odgrzewa się w piecyku. Chciałam właśnie prosić wszystkich do stołu. Ale piwa to już pewno masz dość.

Co powiedziawszy ruszyła w stronę domu.

Wszyscy mężczyźni z wyjątkiem Dalta oddalili się. Mark natomiast został i spoglądał za oddalającą się Audrey.

Zastanawiał się, czy chciałby skrócić jej kark, czy zedrzeć z niej odzież i pojąć ją tu, na

podwórzu. Nie miała dla niego czasu, a z innymi flirtowała...

- Popelniasz błąd, Malone.

Mark spojrzał na Dalta.

- Co ty możesz o tym wiedzieć?

Dalt potrząsnął głową i rzekł:

- Jak chcesz zdobyć kobietę, to musisz ją czarować, a nie warczeć na nią.

Mark zmierzył go groźnym spojrzeniem.

Dalt wzruszył ramionami i odszedł.

Czy Dalt przespał się z Audrey? Był tu zaledwie od paru tygodni, lecz sądząc z tego, co mówiły chłopaki od pokera, kobiety szalały za nim. Dlaczego zatem Audrey miałyby być wyjątkiem?

Obserwował ją, gdy sprzątała - zawsze z uśmiechem, nucąc jakąś melodię. Zwykła podrzucać Curleyowi resztki jedzenia. A najgorsze było to, że przytulała się czasem do Johna. To idiotyczne, ale był o niego zazdrosny. Wyglądała tak niewinnie. No i odmieniła ten dom - z ponurego zrobiła przytulny i ciepły. Jak gdyby na świecie panował spokój i ład.

Taki nastrój mu odpowiadał. Chciał, żeby co rano uśmiechała się do niego.

Pragnął jej.

- Na pewno nie chcesz z nami iść? - zapytała Ruth po raz któryś. Był piątek wieczór i wszyscy wybierali się do Quitman na tańce.

- Na pewno - odparła Audrey. - Nie wiem, skąd bierzecie siły. Ja jestem wykończona. Poza tym mam ciekawą książkę, chcę ją skończyć.

Audrey lubiła tańczyć, ale nie pamiętała, kiedy ostatnio była w klubie. Pod koniec zabawy zawsze chętnie obserwowała innych tańczących.

- Mogę ci coś poradzić? - zapytała Ruth stojąc już w drzwiach. Obróciła się, skinęła na Dalta i znów spojrzała na Audrey. - Trzymaj się z daleka od...

- Rozumiem - przerwała jej Audrey.

Ruth groźnie zmarszczyła brwi. Wyglupiałam się, pomyślała Audrey. Ruth włożyła zamasyście kowbojski kapelusz.

- Mam na myśli Pete'a. On jest okropny.

- Dlaczego okropny? Zrobił ci krzywdę?

- Też coś! - Roześmiała się. - Mnie? Krzywdę? Pete już nigdy nie zrobi mi krzywdy. A ja po prostu chciałam cię ostrzec. Uważaj!

Audrey skinęła głową. Czy Pete jest naprawdę taki groźny? Poszła do kuchni, otworzyła okno i oddychała głęboko świeżym powietrzem. Lekki wiaterek przywiał zapach trawy, lasu sosnowego, polnych kwiatów. Ukoilo to jej nerwy.

Podczas zmywania naczyń włączyła radio. Nadawano akurat jej ulubioną piosenkę. Tekst zawsze ją wzruszał, lubiła również jej rytmiczne brzmienie. Wzmocniła dźwięk i zaczęła tańczyć wokół kuchni..

Jakże bardzo pragnęła mieć mężczyznę, który by ją kochał, który by zrobił dla niej wszystko za jeden jej uśmiech.

Takiego mężczyznę jak Danny, mąż jej siostry Claire. Mieć z nim dzieci, razem z nim się starzeć.

Pamiętała piękny uśmiech Marka dawno temu. Teraz się nie uśmiecha. Tak jakby koniec kariery rodeo odebrał mu radość życia. Co zrobić, by uśmiechał się znowu?

Dźwięki muzyki ściągnęły Marka do kuchni. Sądził, że Audrey poszła na tańce razem ze wszystkimi. Ale nie poszła, tylko na bosaka tańczyła w kuchni. Jej blond koński ogon fruwał w jedną i drugą stronę, a ramiona trzymała tak, jakby obejmowała w tańcu partnera. Niech szlag trafi tę jego niesprawną nogę. Nie może wziąć jej w ramiona i zawirować razem w tańcu. Ciekawe, dlaczego nie poszła razem z innymi? Zadając sobie to pytanie, przybliżył się do niej. A właściwie to ona wpadła na niego. Oczy miała zamknięte - nie zauważyła go widocznie.

W pewnej chwili chwyciła go za ramiona, zatrzymała się.

- Och, przepraszam! Nie widziałam...

Jej dotyk sprawił go w drzenie. Miała na sobie koszulkę bez rękawów - nic go nie chroniło przed ciepłem jej ciała.

Raptem wywineła się z jego objęć, stanęła przy oknie.

Czyżby dostrzegł łzy w jej oczach? Podążył za nią. Chwileczkę, Malone, pomyślał. Już raz cię odrzuciła.

Miał już dość tej ciężkiej atmosfery, jaka panowała między nimi. Pochylił się, dotykał niemal jej włosów, wdychał ich zapach, orzeźwiający, podobny do zapachu cytryny. Zaprzagnął dotknąć ustami jej karku. Nie, nie wolno. Zaciśnął pięści.

- Coś nie tak? - zapytał.

- Nie, wszystko w porządku - odparła. Obróciła się, dotknęła dłonią policzka. - To ta piosenka - rzekła, próbując się uśmiechnąć. - Idiotyzm tak się wzruszać z powodu piosenki.

Co powiedziawszy rozpląkała się na dobre.

Szepnął coś, objął ją mocno i pozwolił się jej wypłakać w kamizelkę. Szepcząc w dalszym ciągu jakieś kojące słowa, przesunął dłonią po jej twarzy, ramionach... Ale jej potrzebna była teraz czułość, nie rozkosz. Wyhamował swoje zakusy i dalej coś czule jej szeptał.

To potrafił. Kaleka noga mu w tym nie przeszkadzała.

Ona, Audrey, ufała mu, był jej potrzebny.

Gdy przestała już szlochać, uniosła głowę i spojrzała na niego - rzęsy miała mokre od łez. Oczy jej wyrażały teraz ból, tęsknotę... Mark pochylił się i pocałował ją. Cofnął się, ciekaw jej reakcji.

Patrzyła nań pytająco szeroko rozwartymi oczyma.



Dreszcz pożądania przeszył jego ciało, pragnienie nieporównywalne z żadnym innym odczuciem.

Pocałował ją zachłannie, zaborczo, czuł się podobnie zauroczony jak wtedy, gdy ona po raz pierwszy uśmiechnęła się do niego. Rozkoszował się jej niewinnością, chłonał ją i pragnął coraz więcej.

Drżała, poddając się jego pieścizotom. Obejmowała go i wtulała się mocno, a dla niego świat przestał istnieć. Stracił nad sobą kontrolę.

Jakże tęsknił do kobiecego ciała! A od czasu, kiedy ona tu nastąpiła, co noc, w pijackim półśnie marzył o niej, by móc wziąć ją w ramiona, tak jak teraz.

Położył dłoń na jej piersi.

Nagle szarpnęła się, oderwała od niego, odepchnęła jego dłoń, więc cofnął się.

Stracił równowagę, wsparł się na zdrowej nodze, ręką chwycił za brzeg zlewozmywaka. Zanim zdołał sięgnąć ramieniem w jej stronę, wybiegła z kuchni i potem schodami w górę.

Co ona, do diabła, sobie myśli? Rusz głową, głupi Malone! Nie jesteś już Samotnym Kowbojem. Wielkie rodeo bez ciebie się odbywa! Żadna kobieta obecnym Markiem Majone już się nie zainteresuje. Facet z chromą nogą. Facet, który zdradził swoją rodzinę.

Poczucie winy wyparło namiętność. Audrey chodziła w tę i z powrotem po pokoju, wymyślając sobie w duchu. Była w podobnym stadium załamania co Mark Malone.

Gdy ją całował, odpowiadała na jego pocałunki z taką pasją, jakiej nigdy dotąd nie zaznała. Jego pieścizoty paliły ją niczym ogień. Coś w niej obudziły, jak gdyby dopiero teraz zaczęła żyć naprawdę. Obejmował ją, całował jej lzy, a jego czułość wręcz ją porażała.

Dzisiejszego wieczora dostrzegła w nim innego mężczyznę. Namiętność - tak, ale i współodczuwanie. On był tym, który obronił ją przed tamtymi łobuzami. Świadczy to o odwadze; tak, jest odważny.

Umyła zęby, posłała łóżko. Spójrz na siebie chłodnym okiem, pomyślała. Pocałunek litości. Mała gruba dziewczyna nie idzie na tańce, bo nikt jej nie zaprosił. Oj, prawda bywa bolesna! Zła była na siebie, na własną wrażliwość.

Tak, widziała, jak dręczyły go koszmary, jak zwijał się z bólu. Myślała czasem, że pod przykrywką nastroju wynikającego z pijaństwa chowa jakąś tajemnicę. Coś, co nie dotyczy jego chorej nogi, coś, co nie pozwala mu stawić czoła życiu.

To coś ona musi wytropić. W jakiś sposób skłonić go do mówienia. Nikt chyba tutaj nie orientuje się w sytuacji. No, poza Johnem i Helen, ale oni są zbyt lojalni, by powiedzieć jej, jakie demony dręczą Marka.

Czy ona, Audrey, mogłaby teraz mu się sprzeniewierzyć?

Musi zdobyć materiał do artykułu promującego ją w zawodzie. Była zdecydowana osiągnąć cel, do jakiego dąży. Pustka i samotność paru ubiegłych lat utwierdzały ją w tym dążeniu.

Położyła się do łóżka. Ale o śnie nie było mowy. Nurtował ją niepokój, cała była spięta. Różne myśli kotłowały jej się w głowie. Jest już tu prawie tydzień. I co dalej? Porzucić ambicje, zrezygnować z celu, bo jakiś przystojny kowboj pocałował ją w przyływie sympatii?

Usłyszała śmiechy na dole. Pewno wrócili z miasta.

Mężczyźni! Denerwują ją, bo pałą, plują, robią bałagan... Grają w pokera...

Poker! Oczywiście. Byłaby to nie tyle zdrada, ile wyzwanie. Mark miałby wybór. Ten, co wygrywa, bierze wszystko. Jedyne, co w tej sytuacji ona może zrobić, to czekać na odpowiedni moment, wygrać i wyegzekwować wygraną, czyli zdobyć wywiad.

Wzięła prysznic, ubrała się i zeszła na dół.

Z pozornym spokojem weszła do jadalni, czując na sobie pełne ciekawości spojrzenia obecnych.

- Nie mogłam zasnąć - rzekła, panując nad drzeniem głosu. - Mogę się przyłączyć do gry?

- Oczywiście! Prosimy! - krzyknęli niemal chórem.

Dalt skoczył do kuchni po krzesło.

Mark miał jeszcze bardziej niż zwykle skrzywioną minę.

- Dzięki - rzekła Audrey zwracając się do Dalta. Usiadła naprzeciwko Marka, wsparłszy łokcie o stół, by jej dekolt był bardziej widoczny. Ojciec mówił jej, że najważniejszą rzeczą w grze jest zakłócenie uwagi przeciwnika. Zastosuje się do jego taktyki. Musi wygrać.

- W domu lubiłam grać w karty z rodziną - powiedziała kokietyjnym tonem, obrzucając obecnych spojrzeniem spod rzęs. - Świetna zabawa.

Z westchnieniem ulgi stwierdziła, że metoda zadziałała. Dalt i Jim z widowym wysiłkiem starali się skupić na kartach. A Pete nawet się nie starał - siedział ze wzrokiem utkwionym w jej dekolcie.

Całe szczęście, że Ruth nie zasiadła do gry. Kobieta przejrzałaby jej zamysł.

Mark milczał. Zmrużywszy oczy podniósł do ust butelkę i łyknął spory haust piwa.

- Musicie mi powiedzieć, która karta bije, no i w ogóle...

Nie przesadzaj, dziewczyno, ostrzegła się w duchu.

- Coś takiego! Po co to wszystko?! - ryknął Mark, zagłuszając gwar i patrząc bezczelnie w jej dekolt.

Minęła chwila, zanim Dalt odważył się powiedzieć:

- Przestań, Malone, niech gra. Co ci to szkodzi?

Mark popatrzył na niego z ukosa i otworzył kolejną butelkę. Po chwili burknął:

- Nie rozumiem, dlaczego godzicie się na taką partnerkę. - Zmierzył ją ostrym spojrzeniem, ale więcej już nie protestował.

Audrey udawała, że słucha pouczeń Jima. Zdobyła się nawet na to, że zapisywała coś w notatniku.

Rozpoczęła się gra.

I po paru godzinach okazało się, że na stole przed Audrey wyrósł spory stos pieniędzy. Nie mogła ukryć satysfakcji i obrzuciła wszystkich spojrzeniem pełnym dumy. Efektem było między innymi to, że jej przeciwnicy podwoili rację piwa.

W końcu mężczyźni zaczęli się zbierać. Jim powiedział, że musi rano wstać i około pół do drugiej opuścił towarzystwo. Pete oznajmił, że jest splukany i poszedł sobie.

Audrey spojrzała na zegarek. Była trzecia i spośród graczy zostali tylko ona i Mark. Zwilżyła usta łykiem mrożonej herbaty.

- Jeśli nie chcesz grać na pieniądze, możesz zastawić coś innego - rzekła.

Widziała, jak zacisnął zęby, a potem wykrzywił usta w złośliwym uśmiechu.

- Co mianowicie? Jaki proponujesz fant?

Audrey przestała się uśmiechać i spojrzała Markowi prosto w oczy.

- No, na przykład... - Uciekła spojrzeniem, bała się. Powiedz, Audrey, dopingowała się w duchu. Twoja szansa! Nie mogła. Nie mogła wydusić z siebie słowa. Nie zniesie jego pogardy! A on coś chyba podejrzewał. Postępowała źle, tak postępują ludzie źli, a ona nie chciała być jedną z tych osób, na których się zawiódł.

- Ja... chciałabym... - Zmusiła się do spojrzenia mu prosto w oczy. - Chciałabym, żebyś przestał pić.

Tak, tego chciała. Żeby był taki jak kiedyś. Taką historię człowieka chce właśnie napisać.

Spojrzał na nią zaokrąglonymi ze zdziwienia oczami.

- Co?!

Szła za ciosem:

- I żebyś zgolił tę cholerną brodę.

- Co ty wygadujesz?!

- Jeśli nie możesz, to trudno...

- Przestać pić mogę w każdej chwili! - Patrzył na stos pieniędzy leżących na stole. - Na oko masz tu jakieś siedemdziesiąt pięć dolarów. Za tyle kasy można podciąć mi gardło, ale nie zmusić mnie do zgolenia brody. Jeśli chcesz grać o tak wysoką stawkę, musisz wyłożyć coś więcej.

- Co mianowicie?

Założył ręce za głowę. Miał taką minę, jakby jej zmieszanie sprawiało mu przyjemność.

- Ta gra zaczyna mi się podobać. - Zmrużył oczy. - Rozpoczęłaś ją, to teraz zakończ.

- Czego chcesz? No bo nie wiem...

Potrząsnął głową.

- Dobrze wiesz, czego ja chcę - powiedział. - Chcę cię mieć w swoim łóżku. Dziś. Poddajesz się,

czy grasz dalej?

Zabrakło jej powietrza. Zamknęła oczy, jakby uciekając w ten sposób przed jego spojrzeniem. Za daleko się posunęła. I teraz nie może skapitulować.

Otworzyła oczy, spojrzała na swoje karty. Kiepsko to wygląda, pomyślała. Wyprostowała się, uniosła głowę, popatrzyła na niego.

- Dobrze. - Głos jej drżał z lekka. - Przegram, to idę z tobą do łóżka.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Odważna baba, uznał Mark. Wiedział zresztą, że jego bezpośrednie uderzenie było praktycznie nie do odparcia. A ona zachowała się jak święta dziewica stojąca u stóp wulkanu. Czy to twoja jedyna metoda zdobywania kobiety, Malone? Czy ty naprawdę chcesz ją zdobyć w ten sposób?

A czego ona tak naprawdę chce? Czy to wszystko przez ten pocałunek w kuchni? Czy istotnie ryzykuje coś tak cennego jak cnota, by tylko przestał pić?

Pożądał jej od tego poranka, kiedy po raz pierwszy uśmiechnęła się do niego, gdy ujrzał błysk podniecenia w jej szmaragdowych oczach. Nie wątpił, że gdyby przegrała, zapłaciłaby tę cenę. Linia jej podbródka świadczyła o silnym charakterze. Tylko zarys ust oraz wyraz oczu dawały świadectwo jej obawie.

Być może gdyby on stał się znowu Samotnym Kowbojem, ona bardziej by mu sprzyjała. Pragnął widzieć jej podniecenie, żar namiętności w oczach. Szanse były po temu znikome.

Jaka moc sprawiła, że zaczęło go coś obchodzić, na czymś mu zależeć? I pomyślał również o tym, że on nic o niej nie wie, nie zna nawet jej nazwiska.

Pochylił się do przodu.

- Co wykładasz?

Była zarazem zadowolona i speszona.

- Full. Damy.

Do diabła. Zanim się zastanowił, rzucił ze złością karty na stół.

- Następnym razem ci się nie uda, kochanie!

Minął tydzień i podczas golenia Mark wrócił myślami do tej rozgrywki. Miotając ciężkie przekleństwa, wodził brzytwą po podbródka. Gdy sprzeda ranczo, zapuści brodę - tak sobie zaplanował. Zmieni wygląd, bo nie chce wracać do przeszłości. Cholera jasna! Ma prawo jej pożądać! Chryste, jak on pragnie piwa! Nie, jej! Ale piwa również.

Skierował się do salonu, licząc, że Audrey stanie mu na drodze. Ale nikt go nie zatrzymał. Wszedł więc do baru, wziął butelkę whisky, odkręcił zakrętkę. Przymknawszy oczy, uniósł butelkę do ust. Dwoje zielonych oczu patrzyło nań z pogardą.

Łamanie obietnic to jeszcze jedna pozycja na liście twoich grzechów, Malone?

Niech to diabli porwą! Postawił butelkę na pulpicie i ruszył do swego pokoju. Dlaczego on się tak przejmuje tym, co ona sobie o nim pomyśli?

Przez cały tydzień unikał i jej spojrzenia, i jej osoby. Ledwo znosił nawet rozmowę z Johnem, a do Audrey ciągle miał jakieś pretensje, które w sobie dusił. Stale wyobrażał sobie natomiast ją, jej wspaniałe ciało w jego łóżku. Nie mógł myśleć o niczym innym, co było dość męczące.

W ubiegłym tygodniu, by ugasić płonący w nim ogień, wypił mnóstwo litrów mrożonej herbaty. Wiele również spraw przemyślał. Jego zachowanie w ciągu ubiegłych tygodni było karygodne. Wstyd

mu było przed sobą i wobec innych. Tak, John miał rację. Powinien uporać się ze swoją kowbojską przeszłością.

Powinien przeprosić Johna. Wiele zawdzięcza jemu i Helen, ale tego długu spłacić nie potrafi. Dwie osoby spośród listy ludzi, których zawiódł.

Skończył się golić. Odnalazł w szafie swój kapelusz.

Samotny Kowboj - wrócił.

Gdy Helen otworzyła drzwi ich małego domku, Mark poczuł zapach smażonego bekonu. Stał chwilę, zanim przypomniał sobie, że należy zdjąć kapelusz.

- Mark! Proszę, wejdź do środka - powiedziała i Mark zdążył zauważyć błysk zdziwienia w jej oczach. - Co tu robisz o tak wczesnej porze? Stało się coś?

Wzięła go pod rękę i szczerze się do niego uśmiechnęła.

- Wszystko w porządku - odparł. - Czy John bardzo jest zajęty?

- Jest w kuchni. Wejdź, zrobię wam kawę.

John siedział przy stole i czytał gazetę. Uniósł wzrok i omal nie jęknął ze zdziwienia, ale szybko się opanował i odezwał się, nim Mark zdążył otworzyć usta.

- Chodźmy do pokoju.

- Jak skończycie, to przyjdźcie na śniadanie - rzekła Helen. - Potem mogę cię ostrzyć - dodała, podając kawę Markowi

Gospodarz wskazał mu miejsce i skrzyżowawszy ramiona, usiadł przy swoim starym, porysowanym dębowym biurku. Milczał.

Mark też milczał przez chwilę, wspominając gabinet w starym domu w Walii, dokąd za dawnych lat często jeździł z Johnem. Ten pokój tu wyglądał tak samo jak tamten. Tak samo książki stały na półkach, takie same były skórzane fotele, taki sam staroświecki globus stał w miedzianej oprawie w rogu pokoju.

I zapach był ten sam, starych mebli, dymu cygar.

Na ścianie nad biurkiem wisiał duży obraz - był na nim Mark dosiadający byka. Byk stawał dęba, a Mark unosił nad nim ramię, usiłując zapanować nad zwierzęciem. Miał na głowie ten sam co dzisiaj kowbojski kapelusz.

Dawno już nie oglądał tego obrazu. I ból przeszył mu serce. Minęły czasy rodeo. Czy mógłby przeistoczyć się w tamtego Marka? Odwrócił wzrok i usiadł.

John przerwał ciszę.

- Co jest?

Mark obrócił się w jego stronę.

- Przede wszystkim chcę cię przeprosić, że przez ostatnie parę tygodni zachowywałem się jak bałwan. - Dwoma palcami uniósł rondo kapelusza. - Aż dziw, że ze mną wytrzymałeś.

Mark spojrział na niego i dostrzegł, że oczy podejrzenie mu zwilgotniały,

- Nie odwracam się od ludzi, których kocham. Przepraszam przyjęte.

John nigdy nie powiedział Markowi, że jest mu bliski. Prawdę mówiąc, nigdy nie używał takich słów wobec nikogo. I chyba to się już nie zmieni.

- Postanowiłem nie pozbywać się Double M. Zostaniesz?

John podszedł do okna. Blask poranka rozświetlał krajobraz.

- Skończysz z piciem? Będziesz pracował w ranczu? Padło pytanie, od którego tyle zależało. A Mark nie cierpiał, gdy podawano w wątpliwość jego deklaracje.

- Masz moje słowo.

John wyciągnął do niego rękę.

- Dobrze. Zostaję.

Po wyjściu od Johnów Mark odstawił samochód do garażu i poszedł prosto do stajni. Od wypadku nie dosiadał Samotnej Gwiazdy. Zastanawiał się nawet, czy potrafi. A jak spadnie z konia? Co za wstyd, lepiej nie myśleć.

No właśnie, kompromitacja przed Audrey.

Osiadł Samotną Gwiazdę i wyprowadził ze stajni. Klacz była niespokojna. W końcu jednak ją poskromił i wyjechał na padole

Ręce mu drżały, w żołądku czuł nieprzyjemny ucisk. Boże, ta jego noga była taka słaba! I bolała go jak sto diabłów. Ale jeżeli chce mieć Audrey, musi być mistrzem rodeo, bo za takiego ona go uważa. Stwierdził ponadto dziwne zjawisko. Gdy wyobrażał sobie ją w swoim łóżku, chęć do picia mijała mu jak ręką odjął.

Ściągnął cugle, by Gwiazda jechała truchtem. Wkrótce gnali przez pastwiska. Mark chciał jakby odpędzić demony, które nękały go już od dobrych trzech tygodni. Wystawiał twarz do wiatru i wdychał charakterystyczny zapach konia. Tak mu tego było brak!

Zanosilo się na deszcz. Czy teraz jest kwiecień? Niebieski lubin zaczął kwitnąć. Zauważył z daleka pojedyncze ciele i za trzecim razem złapał je na lasso. Chyba jestem szczęśliwy, stwierdził w duchu. Oto co miłość potrafi zrobić z człowiekiem!

Miłość. Do diabła, przecież Audrey go nie kocha. Ona pragnęła Samotnego Kowboja. Jego nowa gospodyni ma, czego chciała. Ogolonego, trzeźwego faceta. Może teraz zdoła namówić ją na łóżko, nie dlatego że wygrała zakład. Wyczuł to w jej pocałunkach.

Samotny Kowboj chciał chwycić ją w ramiona, tulić ją i pieścić, aż oboje zapragną tego samego.

A potem obudzą się rano oboje i znowu będą się kochać. Już na samą myśl o tym krew zaczęła szybciej krążyć mu w żyłach.

Co ona teraz robi? Musi ją zobaczyć. Kazał klaczy wracać galopem do domu.

Nadszedł czas wyjazdu. Audrey czekała już w holu, z bagażem. Pomyślała, że przyjedzie akurat w porze lunchu, który jej ojciec jadał zazwyczaj w Klubie Hodowców Bydła. Nazajutrz, w niedzielę, ona, Audrey,

spróbuje wziąć się do pisania.

W poniedziałek rano powinna przyjść do pracy z gotowym artykułem. Nie tyle z wywiadem, co z relacją o bohaterze. Ma opisać historię człowieka, który po licznych operacjach i terapii psychologicznej stanął do walki ze sobą.

O ile orientowała się, Mark spełnił to, co było stawką w grze. Przez cały tydzień unikał jednak Audrey, co sprawiło, że nie opowiedziała mu o swoim zadaniu, o materiale do artykułu o nim. Obawiała się jednak, że nie stać by jej było na taką szczerość.

Weszła Helen.

- Dzień dobry, kochanie.

- Dzień dobry.

Audrey sięgnęła do szafy po kubki i poprosiła, by Helen zajęła miejsce.

- Cieszę się, że cię widzę - powiedziała Audrey. - Bo chcę się pożegnać. - Nalała kawy i raptem poczuła się bardzo samotna, bardziej niż wtedy, gdy tu przyjechała.

- A musisz dziś wyjeżdżać? - zapytała Helen, patrząc na Audrey znad swojej filiżanki.

- Powinam - odparła. - Mam nowe zadanie. - Nie chciała kłamać Helen. Ale nie mogła powiedzieć jej całej prawdy.

- Dziś rano nastąpiła w Marku przemiana - oznajmiła Helen. - Od dawna nie widziałam, by wstał z łóżka o tak wczesnej porze. No i jest trzeźwy. - Z oczu Helen biła radość. - Powiedział Johnowi, że zatrzymuje ranczo.

- Co ty mówisz? - wykrzyknęła Audrey, pełna dobrych nadziei. Świetnie, pomyślała. To ranczo to jest część jego samego. To jego miejsce na mapie.

- A ty naprawdę nie mogłabyś zostać, bo...

- Nie. - Audrey przerwała jej i zaczęła tam i z powrotem chodzić po kuchni, stwierdzając z przykrością, że radość znikła z twarzy Helen. - Wiedziałas przecież, że to moje tymczasowe zajęcie - rzekła.

Helen utkwiała wzrok w kubku z kawą.

- Kiedy przyszedł tu pierwszy raz - zaczęła - od razu wiedziałam, że jesteś właściwą osobą. Nie masz pojęcia, jak bardzo oboje z Johnem byliśmy zmartwieni. Mark po tym wypadku tak bardzo się zmienił, jakby zupełnie nie zależało mu już na życiu.

- Ale dlaczego? - zapytała. - Przecież rodeo to niebezpieczny sport. Wielu kowbojów ulega wypadkom, często urazy są nieodwracalne. A mimo to nie załamują się. Niektórzy uczą młodych.

Dlaczego Mark zaczął pić? - myślała. Czy tylko z powodu końca kariery? A może istnieje jakaś inna przyczyna, która wywołuje te jego nocne koszmary?

- Mark to człowiek spokojny opanowany, zamknięty w sobie - mówiła Helen zmarszczywszy brwi. - Nigdy z nikim się nie zbliżył. Nie pozwolił nikomu sobie pomóc. - Tu spojrzała na Audrey wzrokiem pełnym podziwu. - Nie wiem, co się dzieje między wami, ale wiem, że on wrócił do życia. I chyba ty masz w tym



spory udział.

Audrey spuściła oczy, było jej wstyd. Bo przecież okłamywała również Heien. A ona przypisuje jej takie zasługi...

Łzy napłynęły jej do oczu. Nie może przecież powiedzieć prawdy tej miłej i dobrej kobiecie.

- Nie, to nie tak - zaczęła i zaniósła kubki do zlewu. - Jak długo znasz Marka?

- Od dziecka. Nasze rodziny mieszkały drzwi w drzwi. Dlaczego pytasz?

- Bo chyba jest coś, o czym mi nie mówiłaś, prawda? Wiem, że on już nie może jeździć i stąd te jego frustracje, ale... - Spojrzała w okno i ciągnęła dalej, jak gdyby myśląc głośno. - Ale przecież ludzie o nim pamiętają, o jego zasługach. I chyba niedaleko miał do emerytury... A teraz nie jeździ na wózku, nie używa nawet laski.

Helen siedziała ze spuszczoneymi oczami, uderzając miarowo palcami w stół.

- Wiesz coś więcej, prawda?

Gdy Helen spojrzała na nią, oczy miała pełne łez.

- Zapytaj o to Marka - rzekła.

Audrey westchnęła ciężko.

- To coś strasznego, prawda? - zapytała.

- Zapytaj Marka - powtórzyła Helen.

- Przecież on nic mi nie powie - mruknęła Audrey. Podeszła do zlewu, zmyła kubki - chciała się czymś zająć,

by przepędzić złe myśli. Uniosła wzrok, spojrzała przez okno i zobaczyła jakiegoś mężczyznę na koniu.

Przyjrzała się lepiej. Tak, to był Mark na Samotnej Gwieździe!

- Dosiadł konia - szepnęła poruszona i aż kolana się pod nią ugięły.

Helen podeszła do niej, objęła ją.

- Jak widać cuda się zdarzają - powiedziała. - Nielatwo ci będzie teraz odejść, moja droga.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Audrey obserwowała Marka jadącego stępą na swoim koniu. Lubiła obserwować jadących konno mężczyzn, ruch ich ud opasujących końskie boki. Zatrzymał się przy ganku od tyłu domu, wolno zsiadł, przerzuciwszy nogę z widocznym wysiłkiem, i przywiązał cugle do poręczy ganku.

Wszedł do domu, a Audrey nie mogła z wrażenia głosu z siebie wydobyć.

- Omal nie poderżnąłem sobie gardła przy goleniu - powiedział. - O to ci właśnie chodziło?

Ogolony i ostrzyżony wyglądał wręcz dziwacznie. Był jeszcze blady, ale przy tym bardzo męski i bardzo... sexy.

Milczenie przerwała Helen.

- I to ma być przywitanie? Gdzie twoje dobre maniery, chłopcze?

Mark zdjął kapelusz i rzekł:

- Przepraszam. Muszę się podszkolić w tej dziedzinie. - Spojrzył na Audrey. Chrząknął. - Wybieram się na północne pastwisko, ale muszę się przedtem czegoś napić. Mam na myśli wódkę, rzecz jasna.

Nie ruszał się z miejsca.. Helen wstała od stołu. obejrzała się i dodała: - Mark, postaraj się przekonać Audrey, by nie wyjeżdżała dziś wieczór od nas.

- Helen! - Audrey przesłała jej groźne spojrzenie.

- Wyjeżdżała? - powtórzył Mark zmarszczywszy czoło.

- Życzę ci miłego poranka - powiedziała Helen. - Porozmawiamy później.

Jak ona mogła, myślała Audrey. I co teraz zrobić? Stoi tu jak głupia i patrzy na niego. Chciałaby mu wyznać prawdziwy powód swego pobytu, ale..

- Przecież dziś wieczór jest przyjęcie, nie możesz wyjechać.

Ta sama woda kolońska, myślała, jak wtedy gdy ratował ją z opresji. Z trudem chwyciła oddech.

- Jakie przyjęcie?

- Robotnicy sezonowi kończą pracę.

- Aha, faktycznie - rzekła. Tak jak ja, dodała w myślach.

- Musimy porozmawiać - powiedział. Porozmawiać? Czyżby wiedział, po co ona naprawdę tu przyjechała? Niemożliwe! Wyrzuciłby ją.

- O czym? - zapytała.

Dotknął obydwoma dłońmi jej policzka.

- O nas - szepnął.

Przymknęła oczy. O nas? Przez chwilę wyobraziła sobie różne rzeczy zawarte w tym słowie. Mark i Audrey. Para. Spotykają się. Przedstawiają się wzajemnie swoim rodzicom. Głupie marzenia, ale w głębi duszy poczuła się bardzo szczęśliwa.

- Jim przywiózł z miasta barbecue.

Uniosła głowę,

- To... dobrze - wyszeptała.

Skóra jej cierpła pod dotykiem jego palców. Może w przewidywaniu...

- A więc do wieczora - rzekł.

Zamrugła powiekami, postąpiła krok do przodu, podczas gdy on włożył kapelusz i ruszył do wyjścia. Lecz zatrzymał się i obejrzał. Objął ją, przytulił i pocałował w usta.

Zanim zdążyła zebrać myśli, już go nie było. Dosiadł swojej klaczy i odjechał.

Helen przyniosła dwa duże placki.

- A więc postanowiłaś zostać - powiedziała z uśmiechem.

- Tylko na to przyjęcie - rzekła Audrey. - Rano wyjeżdżam.

Helen skinęła głową.

- Wiedziałam, że cię przekona - mruknęła pod nosem.

Nieważne, co Helen sobie myśli, orzekła w duchu Audrey. Ważne jest to, co Mark ma jej do powiedzenia. Może ona, Audrey, zbierze się na odwagę i powie mu wreszcie, że jest redaktorką, i poprosi go o wywiad. Nie chciała uciekać jak tchórz, nie doprowadziwszy sprawy do końca.

Obie z Helen przygotowały całe litry mrożonej herbaty i nakryły stoły na podwórzu. Ktoś zamontował na ganku odtwarzacz CD wraz z głośnikiem, Jim przyniósł barbecue, John przyholował nad staw beczkę z piwem.

Zabawa trwała, gdy Ruth podeszła do Audrey i podała jej szklankę piwa.

- Cześć - powiedziała. - Obserwowałam, jak wczoraj wieczór graliście w pokera. Tylko dwoje was zostało. - Roześmiała się ni stąd, ni zowąd. - Rozumiem, że chciałaś rozszyfrować jego, hm, system. Ale uważaj...

- Co cię łączy z Daltem? - zapytała Audrey zmieniając temat. - Czy to coś poważnego?

- Z Daltem? - powtórzyła Ruth obracając się ku niej. - Z Tym, Któremu Żadna się Nie Oprze? Jak można poważnie go traktować?

Dalt podeszedł do Ruth i poprosił ją do tańca. Audrey przypomniała sobie, jak na szkolnych zabawach zawsze stała w kącie i czekała, aż ktoś się nią zainteresuje. Coś ją ścisnęło za gardło na to wspomnienie.

Poczucie winy owładnęło nią. Okłamywała tych sympatycznych ludzi. O czym Mark chce z nią porozmawiać? Na pewno o niczym przyjemnym.

Dostrzegła go, zerkając kątem oka. Trzymał plastikowy kubek z herbatą i rozmawiał z Billem Kingstonem, właścicielem sklepu spożywczego w Quitman. Bill miał na sobie błękitną koszulę pod kolor, swoich oczu - też był przystojny. Jak gdyby wyczuwając jej wzrok, spojrzął na nią.

Nie mogła już dłużej wytrzymać w tym tłumie. Rozejrzała się i powoli ruszyła w stronę zabudowań gospodarskich.

Noc była jasna, świecił księżyc i niezliczona ilość migoczących gwiazd. Takich gwiazd nie zobaczy się w mieście zasnutym dymem i zatrutym spalinami. I Audrey uświadomiła sobie raptem, że słyszy granie świerszczy i rechot żab, i szum poruszanych wiatrem gałęzi. Stała, upajając się pięknem tej chwili.

Doszła do potoku. Szum wody i zapach świeżej zieleni działały na nią kojąco. Natura ułatwia człowiekowi spojrzenie na świat z dystansu, daje mu perspektywę.

Audrey usiadła i objęła kolana ramionami.

Nie chciała stąd wyjeżdżać. Może gdyby wypila piwo, odważyłaby się powiedzieć Markowi prawdę? A jeśli on, dowiedziawszy się tej prawdy, wyrzuci ją ze swego domu na oczach wszystkich?

Zaszumiły liście i trawa pod czyimiś stopami, i Audrey dostrzegła zbliżającą się ku niej postać. Złękła się, niezdolna wykonać żadnego ruchu.

- Jesteś tu sama, Audrey? - zapytał Pete, zatrzymując się parę kroków od niej.

Zdała sobie raptem sprawę, jak głupio postąpiła, decydując się, wbrew ostrzeżeniom Ruth, na samotną przechadzkę.

- Miałam właśnie wracać... Ruth czeka na mnie. Podparła się ręką, chcąc wstać. Lecz zanim zdołała się wyprostować, Pete chwycił ją za ramiona.

- Dlaczego wyszłaś? - zapytał. - Chciałaś, żebym wyszedł za tobą, tak?

Usiłowała się uwolnić, ale on przygarnął ją do siebie z całej siły, czuła na twarzy jego oddech, a chwilę potem pochylił głowę i szukał ustami jej ust. - Przestań, Pete!

Odpychała go, lecz on nie ustępował. Serce jej waliło, wyrwała się, walczyła, czuła jednak, że słabnie.

- Nie zależy ci przecież na tym kalece! - mówił, z trudem dobierając słowa. - Zaszły się tutaj... bo na nic innego go nie stać...

Czuła, że robi się jej niedobrze. Nie miała już sił.

- Co się tu dzieje? - rozległo się raptem pytanie.

Och, ten niski, zachrypnięty głos! Jak przyjemnie zabrzmiał jej w uszach.

Pete opuścił ręce, cofnął się.

- Rozmawialiśmy - powiedział. - Wszystko w porządku.

Potrzebowała chwili, by jakoś dojść do siebie.

- Pogadaliśmy sobie - rzekł Pete. - Na razie, Audrey.

Mark podszedł do niej, poprawił jej spódnice. Zapadła

chwila niezręcznej ciszy. Czy on widział jej opór? Czy nie pomyślał sobie, że ona...

- Napastował cię? Już ja mu pokażę!

Chciał za nim biec, ale Audrey chwyciła go za marynarkę.

- Zostaw go! Nie psuj zabawy! Mark obrócił ku niej głowę.

- Na pewno nic ci nie jest?

- Jestem tylko zmęczona. Miałam ciężki dzień. – Łudziła się, że głos jej brzmi normalnie. Próbowwała cofnąć się, zwiększyć dzielącą ich odległość. Błąd. Nie patrzyła przed siebie. Potknęła się o swoją własną nogę i gdyby on jej nie chwycił, runęłaby na ziemię jak długa.

Chwycił ją i nie puszczał. Całe ciało ją paliło. Spojrzała mu w oczy. Ciemna sylwetka w świetle księżyca. Patrzyła na jego gładko ogoloną twarz, na wydatne usta. Dostrzegła, że ma nierówny, przyspieszony oddech. Lekki powiew wiatru - i poczuła zapach jego wody kolońskiej. Zupełnie odruchowo wspięła się na palce i wdychając ów zapach, wtuliła głowę w zagłębienie jego szyi.

Mark jęknął i ogarnął ją ramionami, przyciskając mocno do siebie. Obiema dłońmi ujął jej twarz i przywarł ustami do jej ust.

Po chwili, zbyt szybko, przerwał pocałunek, spojrzał jej w oczy i powiedział:

- Dzwoniłem do twojej firmy i powiedziałem, że zostajesz.

- Co takiego?

Wzruszył ramionami.

- Potrzebna tu jest gospodyni. A poza tym mamy jeszcze ze sobą pewne sprawy do uzgodnienia.

Jakie sprawy do uzgodnienia? Mimo wzburzenia usiłowała zanalizować sytuację. Czy pan Burke nie pomyśli sobie, że rzuciła pracę? Jak Mark mógł, nie pytając jej o zgodę, dzwonić do Billa? Nie miał prawa.

Ale czyż nie ogarniała jej rozpacz na myśl, że odjedzie i nigdy go więcej nie zobaczy? Czyż nie chciała zostać?

Zostać? Poczowała nagły ucisk w sercu. Raptem to codzienne wstawanie o świcie, gotowanie stawy dla robotników rancza, sprzątanie, prowadzenie domu nie wydało jej się niczym złym, bo codziennie widziała Marka Malone.

Zakochała się w nim?

Byłoby śmieszne, gdyby nie było... prawdziwe. Miłość?

Nie, nie, nie! To dlatego, że on... No właśnie, całował ją, sprawiał, że czuła się... pożądana. Nikt do tej pory nie był dla niej taki jak on. Pochlebiało jej to, była mu wdzięczna.

Był przystojny, męski i taki... sexy. Dość tych spekulacji! Był taki, jaki był. No i co z tego? Przecież nie poświęci dla niego swojej kariery dziennikarskiej i nie zaszyje się gdzieś na końcu świata, by na tym końcu świata szykować posiłki i myć garnki! Tak, choć dolega jej życie w kłamstwie, nie zamierza nic w nim zmienić.

- Nie mogę zostać - oznajmiła.

- Zdaniem wujka Billa - możesz. Podwajam ci wynagrodzenie. Powiedziałem mu o tym.

- Ale ja w poniedziałek muszę być w Dallas. Czeka mnie inna robota.

- Wujek Bill powiedział, że nie ma sprawy, on to załatwi.

Co to wszystko znaczy? Czyżby wujek Bill rozmawiał z panem Burke? Czy pan Burke zwolnił

ją z pracy? Dlaczego Mark chce, żeby została? Czy jej talent jako gospodyni tak go zachwycił? Wątpliwe.

Nieważny zresztą powód. Ona nie może tu zostać. Nawet gdyby zmieniła swoje życiowe plany, to nie może być z nim, nie powiedziawszy mu prawdy. Na samą myśl, że mogłaby mu zdradzić cel swego tutaj pobytu, dostawała gęziej skórki. Nie cierpiała się za to, że go oszukuje.

- Nie - odparła. - To jakieś nieporozumienie. Nie mogę tu zostać. Po prostu nie mogę!

Potykaçąc się, pobiegła w stronę domu.

A Markowi chciało się wyć do księżycy. A jeszcze bardziej mu się chciało wyciszyć zszarpane nerwy w wodzie potoku.

Obserwował Audrey w czasie tego przyjęcia - gdy stała na podwórzu rozmawiając z Ruth. Wyglądała pięknie w niebieskiej sukni - nie mógł przestać o niej myśleć.

Czuł się tak, jak gdyby lata się cofnęły...

Gdy trzymał Audrey w ramionach, cały płonął, a gdy tuliła się do niego, gotów był na wszystko, wbrew podstawowym zasadom, jakie obowiązują pracodawcę wobec pracownika.

Audrey też go pragnęła. Łatwo dało się to wyczuć choćby po tym, że chciała jeszcze. Jaka grę ona prowadzi? I co ona, do diabła, robiła tu z Peteem? Umówiła się z nim? Przecież chłopak ledwo zaczął się golić!

Przyszła mu na myśl matka. Przepuściła przez ich dom tylu mężczyzn...

Miał wtedy około pięciu lat, była zima... Zgasiła papierosa i wysiadła z auta, a on został na tylnym siedzeniu.

Zapytał ją, dokąd idzie, a ona kazała mu siedzieć cicho. Potem zobaczył, jak całuje się z obcym mężczyzną, a potem znikają oboje w jakimś małym domku.

Do jasnej cholery! Rozkleja się jak smarkacz! Starł krople potu znad górnej wargi. Niech ona nie zaczyna z tym Pete'em. On, Mark, nie zniesie tego. Jak to? A tak to, odpowiedział sam sobie, że zaczął już ufać tej kobiecie.

Niech to szlag! Nie wolno mu ufać żadnej kobiecie.

Dobrze, że ten smarkacz jutro wyjeżdża. Upewnił się o tym. Jeśli ceni własną skórę, to nigdy nie powinien tu wracać.

A jutro rano Mark zacznie realizować dalsze punkty swego planu.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

W niedzielę Mark wstał wcześniej i zapędził Johna i Dalta do karmienia koni.

- Co powiesz na piknik? - zapytał.

John upuścił garść owsa i spojrzał na Marka.

- Piknik?

- Należy nam się rozrywka - odrzekł Mark. - Możesz zaprosić Helen? Ja wezmę zarcie.

- Świetny pomysł.

Mark poklepał Johna po ramieniu i poszedł w stronę domu.

- Dzień dobry, Audrey.

Audrey potknęła się, chwyciła się poręczy, by nie spaść ze schodów.

Mark podbiegł, podtrzymał ją.

- Uważaj - rzekł obejmując dziewczynę i tuląc do siebie przy okazji.

Przez całe ubiegłe dwa tygodnie ona chodziła tędy o tej nieludzkiej porze i nigdy nic się jej nie stało. Nawet głos Marka o tak wczesnym poranku nie powinien zakłócać jej równowagi. Choć trzeba przyznać, że brzmienie tych dwóch słów było w jego wykonaniu bardzo zmysłowe. Powiedział „dzień dobry”, a ona usłyszała: „pragnę cię”.

To tylko gra wyobraźni, pomyślała. Była jeszcze śpiąca i słyszała to, co chciała usłyszeć, słowa, o jakich marzyła.

Obróciła się ku niemu i to był błąd. Bo on pochylił głowę i jej usta znalazły się tuż koło jego ust. Zdażył się już ogolić i zapach jego wody kolońskiej sprawił, że przeszył ją prąd elektryczny. Jakąż ona mogła zachować ostrożność, skoro dotyk jego dłoni odbierał jej zdolność logicznego myślenia?

- Dziękuję - szepnęła, gdy byli już na dole.

Mark wpatrywał się w jej usta. A ona marzyła o tym, by swoimi ustami dotknąć jego ust.

- Jedziemy na piknik - powiedział. - Bądź gotowa około południa - dodał tonem dość ostrym.

Audrey przeraziła się. Musi wyjechać zaraz, ale najpierw zadzwoni do pana Burkę i z nim to uzgodni.

Musi napisać reportaż, opublikować go i dalej jakoś żyć. Mark kimś takim jak ona na pewno się nie zainteresuje. Może i wie, kim ona jest naprawdę, i prowadzi z nią jakąś podłą grę. Jeśli zostanie, to tylko sobie zrobi krzywdę.

- Ja nie mogę - oświadczyła.

- Oczywiście, że możesz. Wszystko jest już gotowe. Patrzył na nią ze skupieniem. Dostrzegła coś w jego oczach. Błaganie? Czemu nie?

Wiesz, czemu nie, Audrey, mówiła sobie w duchu. Im dłużej tu jesteś, tym zwiększasz możliwość, że on dowie się, w jakim celu tu przybyłaś. I wtedy jeszcze trudniej będzie ci stąd

wyjechać.

Lecz pokusa była silna. Jeszcze jeden dzień. Jeszcze jeden dzień udawania. Marzyłyby o jeszcze jednym dniu - z nim. Chciałyby uwierzyć w moc marzeń.

- Dobrze - powiedziała nienaturalnie głośno.

O dwunastej John i Helen zajechali przed ganek. Mark dosiadał swojej jabtkowitej klaczy. Był w dzinsach i butach kowbojskich, w kapeluszu o szerokim rondzie nasuniętym na czoło.

- Jest piękna - powiedziała Audrey podchodząc do klaczy Marka. - Czy jeszcze ktoś do nas dołączy? - zapytała.

- Jim i Ruth wyjechali rano, chyba do Tyler - odparła Helen z wahaniem. - A Dalt... nie wiem dokładnie.

Mark wyciągnął rękę, by pogłaskać klacz, którą Audrey trzymała za uzdę.

Dotknął ramienia Audrey i szepnął jej na ucho:

- Nazywa się Jasna. Jest łagodna jak baranek. - Chwycił Audrey w pól i uniósł do góry. - Wykonaj zamach prawą nogą!

- Mark, przestań! - protestowała. Robiła co mogła, by pozostać na ziemi, ale szanse miała nikłe.

- Przełóż nogę, no, szybciej!

Posłuchała go wreszcie, usiadła w siodle i spojrzała w dół.

- Co jest? - zapytał.

- Mark... ja jestem... za ciężka!

- Za ciężka jak na takiego kalekę jak ja? - zapytał.

- Nie! Jestem za ciężka dla każdego! - Odwróciła wzrok. - Jestem gruba, rozumiesz? Mógłbyś uszkodzić sobie kręgosłup.

Mark cofnął się.

- Kochanie, czy ty nie zdajesz sobie sprawy, że jesteś absolutnie doskonała?

Zabrzmiało to tak szczerze! Czy on naprawdę nie widzi, jaki ona ma brzuch i jak jej uda wyglądają w dzinsach?

Nie powinna była przychodzić dziś na tę imprezę. Ale tak bardzo ciągnęło ją do Marka! To ostatni z nim dzień.

Spojrzał na nią, zanim wsiadł na Samotną Gwiazdę.

Ciepło słońca i chłodny powiew wiatru - pogoda wręcz wymarzona. Mark miał rację co do Jasnej. Była piękna, ładnie się poruszała. Audrey zawsze lubiła konie. Jej ojciec dbał o to, by wszystkie jego córki umiały jeździć konno.

Mark jechał klusem obok Audrey.

- Muszę ci kupić, dziewczyno, odpowiednie buty - powiedział, popatrując na jej tenisów

- Mówiłam ci już, Mark, że nie mogę zostać. Dzięki za zaproszenie, ale...



- Jeśli sądzisz - zaczął przyciszonym tonem, groźnym, a zarazem kuszącym - że pozwolę ci odjechać, to jesteś w błędzie.

Zatrzymała się i zawołała jadących przed nimi Helen i Johna. Rozpaczliwie szukała czegoś, co pozwoliłoby jej zmienić temat.

- Znasz pewno całą okolicę - zaczęła. - Macie jakieś swoje ulubione miejsce? Bo ja zawsze chciałam zobaczyć Góry Skaliste.

Mark wzruszył ramionami i rzekł:

- Tak, Skałki są piękne, szczególnie te kanadyjskie. Ale moim ulubionym miejscem jest Wielki Kanion. Dopiero gdy stoi się na jego krańcu, widać ogrom i piękno tego tworu natury. Człowiek czuje się jak ziarnko piasku, kropla deszczu spadająca na wielki ocean. I to, kim jesteś i co robisz na tej ziemi, zupełnie się nie liczy.

Audrey ledwo mogła ukryć zdziwienie. Spodziewała się zachwytu nad przyrodą, ale nie filozofii. Zaintrygowało ją to.

- Czy naprawdę sądzisz, że to, co robisz, nie ma znaczenia?

Rzucił jej krótkie, jakby zaleźnione spojrzenie i na jej pytanie odpowiedział pytaniem:

- Powiedz mi coś o sobie. Czy zawsze mieszkałaś w Dallas?

Chwilę milczała. Namyslała się. Nie była w nastroju do zwierzeń. Jak zresztą zawsze.

- Wychowałam się w Fort Worth. Mój ojciec zajmował się hodowlą koni. Mama zabierała nas często do miasta na lunch. A potem bawiliśmy się w Water Gardens. Byłeś tam?

- Nie.

Znowu się zdziwiła, nawet zdumiała. Pochodził z Fort Worth i nigdy nie był w Water Gardens? Chciałaby dowiedzieć się czegoś o jego dzieciństwie, wiedziała jednak, że na takie osobiste pytanie on nie odpowie.

Zaczęła więc opowiadać mu o swojej rodzinie. Najpierw o matce, która zmarła na raka piersi gdy miała trzydzieści dziewięć lat. O tym, że ona, czternastoletnia wtedy dziewczynka, musiała zaopiekować się młodszymi siostrami - Claire i Mirindą. Potem opowiedziała o obecnym życiu swojej rodziny. O trzyletnim siostrzeńcu, Devonie, i o chorobie swego szwagra. Na koniec wspomniała o ojcu, który był ujeżdżaczem dzikich koni.

- Coś takiego! Ty jesteś córką Glenna Tysona? Dlaczego tak nim to wstrząsnęło, pomyślała.

- Znasz go?

Spojrzał w bok i skinął głową w milczeniu.

Zbliżyli się do zatoki i przed oczami Audrey ukazał się jeden z najpiękniejszych widoków na ziemi. Olbrzymią łąkę pokrywał niebieski dywan łubinu. Głęboki szafir - kolor oczu Marka. Audrey stała jak w ziemię wryta, oniemiała wobec tego piękna.

- Nie wiem, jak wy - przemówił John - ale mnie kiszki marsza grają.

- Przestań, John! - Helen wzniosła oczy ku niebu. - W takiej chwili mówić o jedzeniu!

John pomógł Helen zsiąść z konia, Mark - Audrey. Panowie zajęli się końmi, panie zaś rozesłały obrus pod wielkim starym dębem. John i Mark rozmawiali o popycie na wołowinę, Helen opowiadała Audrey o swoim synu i wnuczętach mieszkających w Kalifornii.

Po posiłku John zwrócił się do żony.

- Helen, najdroższa, przespacerujesz się ze mną po skarpie?

Odparła z przesadnie południowym akcentem.

- Czemu nie? Już myślałam, że mnie o to nie poprosisz.

Wzięli się za ręce i odeszli w stronę jeziora.

Mark zaklął w duchu, że John zostawił go sam na sam z Audrey. Przedtem napomknął mu o takiej wersji wydarzeń, ale okazało się, że Audrey to nie tylko Audrey, również córka Glenna Tysona.

Tyle działo się tego popołudnia. Był razem z Audrey, patrzył, jak słońce igra w jej włosach, jak wietrzyk smaga jej policzki. Jak twarz jej się rozjaśnia, gdy uśmiecha się do niego, jak śmieje się, gdy opowiada o swoim niesfornym siostrzeńcu. Podziwiał nutę czułości w jej głosie, gdy opowiadała o swojej rodzinie, szczególnie o szwagrze.

Patrzył na jej uda, gdy dosiadała konia i różne sprośne myśli przychodziły mu do głowy.

Ale czyż można uwieść córkę swojego idola?

Postanowił stawić opór własnym marzeniom. Łatwo się mówi! Trzeba jednak spróbować i włączyć do akcji plan B. Położył się, ręce wsunął pod głowę, przykrył twarz kapeluszem.

Audrey, zirytowana tym jego bezczelnym zachowaniem, chętnie rzuciłaby w niego czymś ciężkim. Odeszła ją jednak pokusa do walki, gdy wzrok jej spoczął na jego sylwetce...

Litości! Jak na kwiecień było naprawdę gorąco. Audrey zdjęła bluzkę i wachlowała nią swoją rozpaloną twarz.

Widocznie westchnęła ciężko. Bo Mark przesunął kapelusz i spojrzał na nią tymi swoimi niebieskimi oczami. Czekala, że coś powie, ale on tylko patrzył na nią.

W takich jak ta chwilach żałowała, że brak jej ciętego dowcipu. Zresztą przy nim, jak to się mówi, zapominała języka w gębie.

Wsparł się na łokciu i zapytał:

- Byłaś kiedyś w Wielkim Kanionie?

A już myślała, że resztę popołudnia spędzą w błogim milczeniu.

- Nie. Ale chciałabym się tam wybrać. Czulałabym się tam chyba jak ziarnko piasku, kimś zupełnie nieistotnym, zbędnym.

- Ty? - Przewiercił ją spojrzeniem.

- Dlaczego się dziwisz? Przecież jestem nikim, nic sobą nie przedstawiam. Ty już tyle w życiu dokonałeś. Tyle radości dostarczyłeś ludziom na rodeo, dzieciom wryłeś się w pamięć na zawsze.

- Nie jestem bohaterem - rzekł z lekkim uśmiechem.

- Marzyłam zawsze...

Nie dokończyła, więc zapytał:

- O czym?

Nie, nie powie mu o swoim młodzieńczym zadurzeniu. A ponieważ musiała coś powiedzieć, wybrała taką wersję:

- O podróżach... Samolotem donikąd... Opowiedz mi o swoich wozach.

Patrzył na nią chwilę w milczeniu. Jakby się zastanawiał, czy istotnie o to jej chodzi.

Opowiedział jej więc o Calgary i Vegas, o Toskanii i Tuluzie. Mówił o górach, śniegach w Kanadzie, tundrach Alaski i czerwonych pniach drzew w Kalifornii. Leżał na wznak i mówił, pomagając sobie gestykulacją.

A ona bardzo chciała to wszystko zobaczyć. Położyła się obok niego, na boku, wsparła głowę na rękę, żeby móc lepiej go widzieć. Drugą ręką gładziła wiosenną trawę, przebierała sosnowe igły.

Gdy zamilkł, poraziła ją świadomość, jak są blisko siebie. Dzieliło ich zaledwie parę cali. Zauważyła, że Mark ma ciężki oddech, oczy mu pociemniały.

Bez chwili namysłu Audrey przyłożyła dłoń do jego policzka, pieszcząc go opuszkami palców.

Mark przymrużonymi oczyma śledził ruchy jej ręki.

Nabrała odwagi i sięgnęła do jego brwi, skroni.

Nie odrywając wzroku od jej twarzy, szepnął:

- Audrey...

Pasmo włosów założył jej za ucho. Ujął jej ramię, przyciągnął ją do siebie i dotknął ustami jej ust. Delikatnie, by po sekundzie zwiększyć moc pocałunku.

Pocałunek trwał, a jego dłonie pieściły jej ciało. Jęknęła, dając upust pasji, którą przez tyle lat trzymała na wodzy.

- Audrey - szepnął całując jej szyję. - Pragnę cię.

- Ja też.

Niecierpliwymi dłońmi rozpinała jego koszulę. Wtulił głowę w jej piersi, uwalniając ją od stanika. Drżała, poddawała się z rozkoszą jego woli.

- Jesteś cudowna - mówił zdławionym głosem, znów zamykając jej usta pocałunkiem, tym razem bardziej władczy, bardziej gwałtowny. Obrócił jej głowę i spojrzał w oczy.

- Dziś wieczór...

Urwał. Odsunął się, oddychając ciężko.

Wyszeptała słowa protestu. Pragnęła jego bliskości. Leżała oszołomiona, czekała na jego gesty... I raptem usłyszała szelest czyichś kroków na trawie - pogrążeni w rozmowie szli nieopodal Helen i John. Rzeczywistość wtargnęła brutalnie w jej intymny świat. Stała już,

poprawiając ubranie.

Na szczęście krzewy ich osłaniały, myślała strzepując z siebie sosnowe igły, wyjmując je z włosów. Zapanowała nad biciem serca, spowolniła oddech. Było jej wstyd, nie dowierzała wręcz temu, że ona, Audrey Tyson, leży tu oto w niekompletnym stroju i mało brakowało, a kochałaby się z Markiem Malone. On powiedział: Dziś wieczór.

Lecz ona wiedziała, że żadnego „dziś wieczór” nie będzie.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Mark w milczeniu podjechał z Audrey do ganku od tyłu domu, pomógł jej zsiąść z konia i oba konie zaprowadził do stajni. Jego płomienne spojrzenie obiecywało rozkosz, której tu nie dane jej będzie zaznać.

Poszła na górę do swego pokoju. Wyjęła z torebki komórkę i zadzwoniła do pana Burkę. Poczta głosowa przekazała jej dwie wiadomości, jedną właśnie od pana Burkę, drugą od siostry.

- Audrey - mówił jej szef - co za historia z tą twoją funkcją gospodyni? Masz materiał czy nie? Czekam na telefon.

Niech czeka, pomyślała. Zadzwonię do niego z drogi. Wiadomość od siostry zaniepokoiła ją, dotyczyła szwagra. Szybko wybrała numer siostry.

- Coś złego z Dannym, Claire?

- Tak. Jest chory i nie chce iść do szpitala. Uparty jak osioł! Ale chce czy nie chce, zawiozę go tam. Miranda wyjechała, a ojciec złapał grypę. Wolałabym nie ciągnąć Devona po szpitalach.

Siostrzeniec Audrey miał trzy latka.

- Jasne, że posiedzę z nim. Ja... ja jestem wciąż na tym ranchu. Później ci wytłumaczę. Ale już wyjeżdżam, tylko się spakuję.

Zdjęła walizkę z szafy i rzuciła na łóżko. Parę drobiazgów i była już właściwie spakowana.

Gdy schodziła ze schodów, Mark zastąpił jej drogę. Rozłożył ramiona.

- Dokąd to się wybierasz?

Zmieszła się, było jej głupio, aż łzy podeszły jej do oczu.

- Mój szwagier jest chory - rzekła. - Muszę się zająć siostrzeńcem...

Zanim zdołała dokończyć zdanie, Mark podszedł do niej i chwycił ją w objęcia. Poczula zapach siana i sosnowych igieł.

- Czy oni są w Dallas? - zapytał.

Skinęła głową.

- W Arlington. Ja...

- Wezmę samolot. Będziemy tam za pół godziny. - Trzymał dłonie na jej ramionach. - Zostaw to mnie. - Co powiedziawszy, poszedł do swego gabinetu.

Samolot? Minęła może minuta, a ona wciąż stała w progu z otwartymi ze zdumienia oczami.

Mark był rad, że swego czasu nie sprzedał samolotu. Nazywał go swoim kumplem Jake'em, który zawsze jest gotów do dokonania przeglądu jego rancha.

W ciągu dziesięciu minut wznieśli się na odpowiednią wysokość.

Audrey, nie przejawiając niepokoju, usadowiła się na miejscu dla pasażera. W jej oczach Mark nie wyczytał niczego poza zatroskaniem. A liczył trochę na to, że zaimponuje jej tym swoim samolotem. Jakże mało ją znał! Już kilkakrotnie się przekonał, że na jego pieniądzach

wcale jej nie zależy.

Z lotniska w Arlington było tylko parę mil do domu siostry Audrey.

Drzwi otworzyła im piękna kobieta o długich jasnych włosach, wyrazistych oczach i nieskazitelnej figurze. Mark nigdy nie widział oczu o takim odcieniu błękitu.

Zdjął kapelusz, przeczesał dłonią włosy.

Gospodyni patrzyła na niego wyraźnie zmieszana, aż Audrey podeszła do niej i wzięła ją w objęcia.

- Co z Dannym? Nie pomyślałam, żeby umówić się z tobą w szpitalu.

Siostra Audrey zmarszczył brwi

- Przyjechaliście błyskawicznie. Czyżby samolotem? Audrey wskazała na Marka.

- Mówiłam ci o tej nowej pracy...

- Mark Malone - przerwał jej wyciągając rękę w stronę Claire. - Miło mi cię poznać. Tak, przylecieliśmy samolotem.

Młody mężczyzna podjechał na wózku inwalidzkim. Nie miał więcej niż trzydzieści lat i wyglądał jak atleta, który dla fantazji rzucił właśnie pracę. Ale Mark wiedział od pierwszego wejrzenia, że facet nie miał wyboru. Był blady, niemal przezroczysty.

W czasie gdy siostra cofnęła się, by ich przepuścić, Audrey pocałowała szwagra w policzek.

- Dajesz się we znaki mojej siostrze? - zapytała go.

Ten uśmiechnął się i skinął głową.

- Uważaj, chłopie. Bo, wiesz, co dwie Tysonówny, to nie jedna.

Znowu się uśmiechnął i znowu skinął głową, spoglądając tym razem na Marka.

- Och, przepraszam, Danny, to jest Mark Malone, przytransportował mnie tutaj. Mark, to mój szwagier, Danny Grant.

Danny obrócił głowę, chwycił ustami drążek i nacisnął nim kilka guzików przy ekranie umocowanym do fotela.

- Miło mi... pana... poznać - powiedział matowym głosem.

Tymczasem wróciła siostra Audrey, trzymając na ręku małego chłopca, który był dokładną miniaturką mężczyzny na wózku. Miał duże brązowe oczy i ciemne wijące się włosy. Audrey wzięła od niej chłopca i uniosła go do góry.

- Pocałuj mnie, Devon!

Cmoknął ją z zapalem w policzek.

Kręcił się i wiercił, póki Audrey nie postawiła go na ziemi.

Wskazał paluszkiem kapelusz Marka.

- Jesteś kowbojem? - zapytał.

Claire roześmiała się.

- Devon kocha kowbojów i Indian - powiedziała. - Ma pan konia? - zapytała.

- Konie! - pisnął mały.

Mark kucnąłby chętnie przy chłopcu, ale wiedział, że noga mu na to nie pozwoli. Więc chcąc sprawić dziecku przyjemność, włożył mu na głowę swój kapelusz. Jakże ten chłopak przypominał mu Keitha!

- Wiesz co? - powiedział raptem. - Mam na swoim ranczu dużo koni. Chciałbyś się na którymś przejechać?

Oczy chłopca rozbliły.

- To miło z twojej strony - rzekła Audrey. - Ale niech on lepiej bawi się u siebie.

Mark katem oka dostrzegł, jak dała ręką znak swojej siostrze. Zignorował te jej gesty i oznajmił, zwracając się do matki chłopca:

- Może pobyc u mnie parę dni. Zwiedzi ranczo, pojeździ na kucyku...

- Audrey zostałaby może wtedy trochę dłużej - wyraziła przypuszczenie Claire.

- Nie - powiedziała Audrey.

- Tak - powiedział Mark.

Zacisnął pięści. Nie pozbedzie się go tak łatwo.

- Nie będzie panu przeszkadzał? - zapytała Claire z uśmiechem.

Audrey spojrzała wymownie na swoją młodszą siostrę.

Ależ z niej numer, pomyślał Mark.

Patrząc jej prosto w oczy, powiedział do Claire:

- W żadnym razie. Oboje będziemy mu radzi. Audrey pochyliła się nad siostrzeńcem.

- A nie wolałbyś zostać tutaj z cicią i oglądać telewizję?

- Nie! Konie! - zaprotestował mały.

- Chłopiec będzie miał uciechę - powiedział Mark. - I przy mnie nic złego mu się nie stanie, proszę się nie martwić.

Claire spojrzała na Audrey, potem na Marka.

- Poddaję się - rzekła. - To dobry pomysł. - Położyła rękę na ramieniu chłopca. - Przewietrzy się, oderwie od domu na parę dni. Danny, przypilnuj, żeby Devon nie zapomniał szczoteczki do zębów.

Gdy Audrey i Mark zostali sami, Audrey rzekła:

- Ja nie wracam na ranczo.

- Jak to?

Utkwiła wzrok w podłodze.

- No bo... ja... - jąkała się.

Być może powinien pozwolić jej odejść. Ale nagromadziło się między nimi tyle gwałtownych uczuć.

- Za późno - powiedział. - Twój siostrzeniec myśli już tylko o jeździe konnej.

- Mark. - Chwyciła go za ramię, gdy szedł ku drzwiom. Zatrzymał się, zmierzył ją wzrokiem.

- Znajdziesz na pewno inną gospozię.

Zmarszczył brwi i ujął w obie dłonie jej drżącą rękę, którą wsparła na jego ramieniu.

- Posłuchaj, co ci powiem, Audrey. Rozpoczęłaś coś. Chciałaś, żebym przestał pić. - Pochyliwszy głowę, ciągnął - Potrzebuję cię. - Dotknął ustami jej włosów.

Przymknęła powieki.

- Nie pozwolę ci odejść - oświadczył z ustami niemal przy jej ustach. - Jeszcze nie.

W poniedziałek rano Mark uchylił powieki i ujrzał dwoje ciemnych oczu wpatrujących się w niego, jakby był jakimś dziwnym tworem. Na jaką cholere ściągnął do siebie tego dzieciaka, myślał. Nie mógł być już przecież niczym bohaterem.

- Pojeżdżę dzisiaj na kucyku? - zapytał mały.

- No... jeszcze nie teraz. - Mark usiadł, przetarł oczy. - Poszukaj swojej cioci Audrey.

- Dobrze, proszę pana. - Chłopiec popatrzył na niego ze smutkiem. Dolna warga mu drżała. Ruszył w stronę drzwi.

Mark czuł się tak, jakby ktoś wyrwał mu serce z piersi. Przypomniał sobie spojrzenie Keitha.

- Poczekaj, smyku.

Chłopiec zawrócił, ale minę miał taką, jakby spodziewał się już tylko złych wieści.

- Pójdziemy zaraz do kuczka - powiedział Mark.

- Naprawdę? - zapytał mały, unosząc na niego wzrok.

- Ale najpierw pomyślimy o należytych ekwipunku.

Chłopiec spojrział na Marka szeroko otwartymi oczami.

- Dostanę kapelusz, proszę pana? - zapytał.

- Dostaniesz. I mów mi Mark.

Po trzech godzinach Mark wszedł do kuchni w towarzystwie małego kowboja. Tenże kowboj miał na sobie wranglery, koszulę z Dzikiego Zachodu, buty kowbojskie i czarny kapelusz. Szedł kołyszącym krokiem Johna Waynea, ale cały efekt przysł, gdy podskoczył do Audrey.

- Audrey! Dostałem kuczka! Jestem prawdziwy kowboj!

Mark był trochę zmęczony. Ale to wielka satysfakcja, myślał, zobaczyć taki uśmiech na twarzy Audrey, jakby księżyc i gwiazdy złożył u jej stóp. Taki uśmiech jak przy pierwszym ich spotkaniu.

Audrey kazała Devonowi uściskać Marka i podziękować mu.

- Dziękuję - wymamrotał chłopiec, obejmując tę chorą nogę Marka, który zresztą wolałby przyjąć podziękowanie od jego ciotki.

Zanim zdążył dokończyć tę myśl, Audrey była już w jego ramionach, tuląc policzek do jego piersi. Tu właśnie było jej miejsce - w jego ramionach.

Było to już coś więcej niż zamierzył. Audrey stała mu się bardzo bliska. Kiedy patrzył, jak czule witała



się z siostrą i szwagrem, ze łzami w oczach, jakim uczuciem darzyła swego siostrzeńca, zapragnął też mieć rodzinę.

A to było już groźne.

Z miłym uśmiechem, spojrzeniem pełnym ciepła szepnęła:

- Dziękuję ci.

Mark poczuł ucisk w gardle. Nigdy nikt nie był mu tak wdzięczny za tak drobną rzecz. Nie mógł się powstrzymać - pochylił się i pocałował ją w usta. Był to pocałunek, którym domagał się więcej.

Audrey wyrwała mu się, a on poczuł się tak, jakby wylano nań kubel zimnej wody.

Głośny chichot małego przywrócił go do rzeczywistości. Stał speszony, skonsternowany, podczas gdy ona ciągnęła siostrzeńca na górę, pouczając go, by zostawił Marka w spokoju. Ale spokój był ostatnią rzeczą, o jakiej Mark marzył.

Poszedł do zagrody osiodłać kucyka, w czasie której to czynności rozmyślał o paru przyszłych dniach. W tym czasie nadjechał John. Zsiadł z konia i stanął opierając się o balustradę.

- Ten siostrzeniec Audrey to dobry numer - rzekł. - Będziesz go uczył jazdy konnej?

- Można powiedzieć, że mały mnie w to wrobił.

John roześmiał się głośno.

Audrey, zła na siebie, że zasnęła, robiła kanapki dla Devona. Gdy nie zastała go w swoim pokoju, zaniepokoiła się, że pewno chłopiec przeszkadza Markowi. Ubawiła się szczerze, gdy zobaczyła kartkę przyczepioną magnesem do lodówki: „Poszliśmy do miasta, Mark”.

Uśmiechnęła się. Nie chciało jej się wierzyć, że Mark kupił Devonowi kucyka. Ale właściwie dlaczego ją to zdziwiło? Przecież on w ogóle lubił dzieci, nie tylko Devona.

Przypomniała sobie, że wyglądał kiepsko, kiedy pierwszego dnia wrócili razem do domu - stanął w drzwiach, ręce w kieszeniach, kapelusz zsunięty na tył głowy. Gdyby nie była świadkiem tego, jak kiedyś przyprowadził na ranczo grupkę dzieci, pomyślałaby, że mały solidnie go zmęczył.

Kiedy wówczas Devon objął chorą nogę Marka, a ten położył mu rękę na ramieniu, serce Audrey zabiło radośnie. Od tej chwili przestała się łudzić, że to tylko chwilowe zauroczenie.

Była w Marku Malone śmiertelnie zakochana.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Pułapka. Żadnych nadziei na ucieczkę. Audrey wyprostowała ramiona, starając się rozluźnić, zmniejszyć napięcie.

Mark zabrał Devona do zagrody na lekcję jazdy konnej. Audrey zaś podglądała ich przez okno w kuchni. Obserwując zabiegi trenerskie Marka, czuła, że kocha go jeszcze bardziej. Puszczając wodze fantazji, że niby są małżeństwem, a Devon jest ich synem, a ten dom - ich domem.

I że go wcale nie oszukała. .

Żaloszne!

Dzwonek telefonu wyrwał ją z zadumy. Dzwoniła Claire, ze szpitala. Chwała Bogu, Danny miał niegroźną infekcję, nie zapalenie płuc. Ale pozostanie na obserwacji jeszcze przez parę dni. Więc jeszcze przez te parę dni ona musi wytrzymać.

Tego wieczoru po kolacji przyniosła z kuchni kilka krzeseł i pomogła Devonowi naciągnąć na nie koc. Bo jej siostrzeniec chciał rozbić obóz przy ognisku, jak to czasem robili pracownicy rancza. Audrey wpełzła do namiotu z miłą prażonej kukurydzy.

- Jak skończysz chrupać, pójdziesz spać.

- Nie chcę spać.

W tym momencie rozległ się męski głos.

- Masz słuchać ciotki i nie dyskutować.

Mark pochylił się, chwycił Devona i podrzucił go do góry.

Audrey stała wpatrzona w tę scenę, zachwycona pięknem ruchów tego mężczyzny. Podziwiała także jego usta, jego oczy...

I czułość, z jaką traktował jej siostrzeńca.

Obaj chichotali, przekomarzali się ze sobą. Mark miał dziwnie tkliwy wyraz twarzy, gdy czochrał żartobliwie czuprynę chłopca.

- A zostawisz mi trochę kukurydzy?

Przyciągnął przed ognisko ten swój ciężki fotel i usadowił się na nim, jakby zamierzał spędzić tu dłuższy czas.

- Opowiedz mi coś - poprosił Devon, częstując Marka kukurydzą,

- Dobrze, ale włącz do namiotu i połóż się.

Devon wykonał polecenie i Mark zaczął opowieść.

- Po raz pierwszy zobaczyłem Jasną, gdy brykała, rżąc głośno, w dużej, pięknie utrzymanej zagrodzie.

Audrey przysiadła obok, ciekawa opowieści, jak Mark wygrał licytację i wszedł w posiadanie tego pięknego konia. Gdy Mark skończył, spojrzała na Devona; mały spał.

- Zaniósę go do łóżka - rzekła.

- Dobrze mu tutaj - powiedział Mark. - Masz ochotę na kawę?

O, tak, pomyślała. I na ciebie. Do końca życia.

Mark uniósł się z miejsca, ale ona szybciej podskoczyła.

- Ja się tym zajmę - mruknęła idąc do kuchni.

Po powrocie wręczyła Markowi kubek z kawą i przysiadła obok namiotu.

- Dzięki. - Mark wziął kubek, ale nie pił. Siedział na brzegu fotela i obserwował ją.

Speszona odrobinę, łyknęła kawy. Była gorąca, Audrey syknęła z bólu.

Mark przyłożył dłoń do jej policzka, uniósł jej podbródek.

- Już dobrze? - zapytał.

Pochylił głowę i ustami dotknął jej ust. Im mocniej ją całował, w tym większą wpadała panikę. Sytuacja jest groźna, myślała przerażona. Może dojść do tego, że ona... ulegnie. Wyjdzie wtedy na jaw, że go okłamywała. Szarpnęła się gwałtownie, oderwała od niego.

- Claire twierdzi - zaczęła ni stąd, ni zowąd - że Danny wyjdzie ze szpitala za parę dni, więc w czwartek rano muszę małego odwieźć do domu.

Mark wyprostował się, westchnął.

- Odstawimy go moim samolotem.

Zmusiła się, by wytrzymać jego wzrok.

- Nie ma potrzeby. Dziękuję, że pozwoliłeś mi tu zostać.

Świetnie się bawił.

Mark wzrok miał utkwiony w chłopcu, ale myślami był daleko stąd.

- Dobrze już jeździ na kucyku - rzekł. - Przypomina mi mojego brata.

Zapadła cisza. Aha, pomyślała Audrey, chłopiec na fotografii.

- Masz brata? Jak ma na imię?

Mark zamyslił się, patrzył gdzieś w dal. W oczach miał cierpienie.

- Keith.

Chciała wiedzieć o nim wszystko. Czy w końcu powie coś o swojej przeszłości? Audrey musi uzbroić się w cierpliwość.

- W tym miesiącu skończył dwadzieścia dwa lata - mówił. - Pamiętam, jak Helen upiekła ciasto na jego siódme urodziny. A potem John zabrał nas na wybieg i jeździliśmy konno. Ja miałem wtedy czternaście lat. Tego dnia postanowiłem, że kiedyś będę miał własnego konia.

Helen i John. A rodzice?

- Czy Keith mieszka gdzieś w pobliżu? - zapytała.

- Docierają do mnie wieści o nim - rzekł.

Stał przy kominku i uderzał pogrzebaczem w płonącą kłodę.

Docierają wieści? O bracie?

- A twoi rodzice? - zapytała. Obrócił się ku niej.

- Nie żyją - powiedział ostrym tonem.

- Och, przepraszam.

Ciekawe, myślała, ile miał lat, kiedy umarli. Przerywając tok jej myślenia, obrócił do niej twarz, ale nic z niej nie mogła wyczytać.

- Trzeba położyć go do łóżka - powiedział, wskazując na chłopca.

Wziął Devona na ręce, choć ona chciała to zrobić, i ruszył schodami na górę. Audrey szła za nimi, zastanawiając się, czy ten ciężar nie sprawia mu bólu.

Położyła chłopca do łóżka, życząc mu dobrej nocy.

Mark obserwował ją, gdy oboje zatrzymali się w progu. Słyszała jego przyspieszony oddech, ale nie uczynił gestu, by ją pocałować.

Odwrócił się i ruszył schodami w dół.

Przeraziła się, gdy zdała sobie sprawę, że chce, by ją dotknął, że pragnie, by pocałował ją w usta. Pomyślała z rozpaczą, że jeśli wyjedzie stąd, serce jej pęknie.

Mark ściągnął koszulę i rzucił ją na podłogę. Na jakiego diabła wspomniał Keitha? Co go opętało?

Usiadł na łóżku, by zdjąć buty. Nigdy nikomu nie mówił o swojej przeszłości. Nigdy. Tak, myślał, ona rzuciła na niego urok. Nie może przestać o niej myśleć.

Ręce mu drżały, gdy rozsuwał zamek dzinsów. Od kiedy stracił nad sobą kontrolę? Nawet gdy niósł po schodach małego i noga go bolała, też marzył o jej pocałunku.

Stanął pod prysznicem, wystawiając twarz na zimny strumień wody.

Stracił zdolność logicznego myślenia. W przeciwnym bowiem razie nie dopuściłby nigdy do takiej sytuacji, z którą trudno mu się uporać.

Otóż to - nie rozumuje logicznie, fest gotów na wszystko, niech to szlag! Musi uważać, bo ona gotowa wyciągnąć z niego całą tragiczną historię jego życia.

Niech to jasny szlag trafi!

Gdy we wtorek rano Audrey usłyszała dzwonek telefonu, pomyślała, że to pewno Claire. Helen powiedziała do słuchawki:

- Dobrze, przekażę jej.

Audrey stała w drzwiach, gdy Helen tę słuchawkę odwiesiła, po czym zwróciła się do niej.

- Co się dzieje, Audrey? Ten człowiek powiedział, że jest twoim szefem.

Świat zawirował jej przed oczami, chwyciła się futryny. Była już u kresu sił. Życie w ciągłym kłamstwie stało się nie do zniesienia. Nie mogła przecież poza plecami-Marka ujawniać jego prywatności. A gromada fanów wciąż domagała się wyjaśnienia jego tajemniczego zniknięcia.

Jak to możliwe, że w tak krótkim czasie przywiązała się do tego rancza i tutejszych ludzi? I jak ona mogła, na litość boską, zgodzić się na taki wariacki układ, nie zastanawiając się nad

możliwymi skutkami takiego przedsięwzięcia?

Odkąd sięga pamięcią, chciała być dziennikarką. Ale aż do niedawna nie wierzyła, że jej marzenia się spełnią. Teraz jednak miała wątpliwości, czy są one warte ceny, jaką przyjdzie jej zapłacić. Czy stać ją będzie na uprawianie zawodu, który niesie ze sobą takie zagrożenia?

Westchnęła i odpowiedziała na pytanie Helen.

- Tak, to mój szef, naczelny „Dallas Today”.

Przesunęła krzesło i usiadła. Postanowiła wyznać prawdę Helen. Czuła się jak grzesznik przed spowiedzią liczący na łaskę.

Powiedziała jej o wszystkim. Gdy skończyła, spojrzała jej w twarz w oczekiwaniu na wyrok.

Helen przyjęła to spokojnie, nie przejawiała wzburzenia. Po chwili zapytała:

- Nie napiszesz więc tego artykułu? Rezygnujesz z szansy wykazania się?

- Helen, przysięgam, nie mogłabym teraz dopuścić się takiej zdrady wobec Marka. Nie. Znajdę sobie jakiś inny temat, który pozwoli mi zdobyć szlify reportera.

- Nie pozostaje ci zatem nic innego, jak powiedzieć o wszystkim Markowi.

Na myśl o tym Audrey aż się cała skuliła.

- Nie mogę. Znienawidzi mnie.

- Na pewno najpierw wybuchnie, ale sądzę, że wytłumaczysz mu i potrafi cię zrozumieć. - Uniosła brwi i spojrzała badawczo na Audrey. Podeszła do niej, objęła ją. - Powiedz mi, Audrey, szczerowość należy się wam obojgu. - Kierując się już do wyjścia, dodała: - Moglibyśmy z Johnem zabrać jutro Devona do zoo. Co o tym sądzisz?

Po lunchu rozległ się dzwonek u drzwi - Audrey otworzyła. W progu stał ogorzały młody chłopak tuż po dwudziestce. Blondyn, w okularach w drucianej oprawce.

- Czego pan sobie życzy? - zapytała. Zawahał się, spojrzał na nią niepewnie.

- Przyszedłem do Marka.

Popatrzył jej przez ramię, jakby Mark stał za nią.

- Mark będzie dopiero popołudniu - rzekła.

- Wiem. Helen mi mówiła. Poczekam. A pani jest Audrey? Ta nowa gospodyni?

- Tak, jestem Audrey Tyson. A pan jest przyjacielem pana Malonea?

Chwilę milczał. Skrzyżował ramiona na piersi i powiedział z westchnieniem:

- Mark nigdy o mnie nie wspominał? Jestem Keith Malone, jego brat.

Audrey, nalewając herbatę, spuściła głowę, co pozwoliło jej ukryć zaskoczenie. Keith w niczym nie przypominał brata - był niższy, drobniejszy, miał jasne włosy.

Ze szklanką herbaty w dłoni usiadł przy kuchennym stole.

- Po wypadku Marka - zaczął - chciałem odwiedzić mego brata. Ale on w szpitalu nie chciał nikogo widzieć. Nie odpowiadał także na moje telefony. Więc kiedy dowiedziałem się od Helen, że jest trzeźwy, postanowiłem odwiedzić go teraz, tutaj.

Audrey milczała, nie mogąc dobrać odpowiednich słów.

Rozejrzał się.

- Helen mówi, że dokonałaś cudów w tym domu. Ale nic nie wspomniała o dzieciach.

Devon przeglądał właśnie komiksy.

- Mój siostrzeniec przyjechał dopiero wczoraj. Mark był na tyle uprzejmy, że zaprosił go.

Twarz Keitha wyrażała bezbrzeżne zdumienie.

- Według słów Helen wprowadziłaś tu duże zmiany. Z nią i z jej mężem - mówił dalej - utrzymuję kontakt przez te wszystkie lata. Nie ma tygodnia, żebym nie rozmawiał z Helen przez telefon.

Wypili jeszcze po kubku herbaty, a skoro Keith okazał się tak sympatyczny i rozmowny, Audrey zaryzykowała pytanie o ich rodziców.

- Dawno umarli?

Keith uniół brwi ze zdziwieniem.

- Nasi rodzice żyją, Audrey.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Keith uciął rozmowę na ten temat, powtórzył tylko, że chce się widzieć z Markiem.

- Nie widzieliśmy się całe lata - dodał.

Audrey z trudem zdołała ukryć zdumienie. Widzieli się ostatnio, jak byli dziećmi? Jak zatem Mark zareaguje na widok Keitha? - zastanawiała się.

Nie zdążyła udzielić sobie odpowiedzi, gdy usłyszała kroki na ganku.

Mark otworzył drzwi wołając Devona na lekcję jazdy konnej. Zamilkł w pół słowa na widok Keitha.

Po czym obrócił się i wybiegł. Lecz Audrey zdążyła zobaczyć jego twarz. Był blady jak ściana. Ujrzała twarz człowieka, który przeżywa tortury.

Keith zerwał się z krzesła i pobiegł za Markiem. Audrey przymknęła oczy, postanawiając zostawić sprawy swojemu biegowi i nie patrzeć, co dzieje się za oknem. Myślała o bólu, jaki dostrzegła w oczach Marka.

Po kilku minutach Keith wrócił do kuchni - ręce w kieszeniach, głowa opuszczona.

- Poczęstuj się ciastkiem - odezwała się Audrey.

- Nie, dziękuję. - Podeszedł do okna, wyjrzał. - Czy mogłabyś go namówić, by ze mną porozmawiał?
- Poproś o to lepiej Johna lub Helen - odparła. Milczał chwilę i rzekł w końcu wzruszając ramionami:
- Helen jest zdania, że Mark posłucha raczej ciebie.
- Ja jestem tu tylko gospodynią.
- Helen tak nie uważa. Byłbym ci bardzo wdzięczny, gdybyś wstawiła się za mną...

Jak można odmówić w takiej sytuacji?

Zastała go w stajni - siodłał kucyka. Przez parę sekund wahała się. A może lepiej nie burzyć jego samotności? Co ona ma mu powiedzieć? Jedno jest pewne - musi zachować jak najdalej idącą delikatność.

Postąpiła parę kroków, chwyciła się przegrody.

- Dlaczego nie chcesz rozmawiać z bratem?

Zbytnią delikatnością się jednak nie wykazała.

Mark spojrzał na nią. Jego oczy miały wściekłe błyski.

- Nie twój interes! - krzyknął i odwrócił się od niej.

Audrey spuściła głowę.

- Wiem, że nie mój - rzekła. - Chcę ci tylko powiedzieć, że twojemu bratu zależy na tobie.

Mark chrząknął.

- Zależy! - powtórzyła, - Gdybyś słyszał, jak on o tobie mówi... - Zbliżyła się do Marka. - Każdy ma prawo do przeprosin. Życie jest za krótkie, by je psuć gniewem.

Mark spojrzał na nią przymrużonymi oczami.

- Nie wiesz, o czym mówisz, Audrey. I niech tak już zostanie. Nie wtrącaj się.

- Nie potrafię. Bo rodzina jest największą wartością. Nieważne, co on takiego zrobił, ale był dzieckiem i chce teraz nadrobić te lata, bo...

- On nic nie zrobił! To ja go zawiodłem. Zostawiłem go, by sam sobie radził. - Chwycił szczotkę na kiju i zaczął nią czyścić ściany stajni. - Niech to wszyscy diabli! - zrzędził.

- Jesteś gorsza niż mucha! Przestań mieszać się w nie swoje sprawy!

Co powiedziawszy, skierował się ku wyjściu.

Po południu tegoż dnia Mark starał się wyciągnąć krowę z mułu, w jaki wpadła, i właśnie wtedy Keith przygalopował na swoim koniu. Przeżona krowa ryczała żałośnie i Mark postanowił posłużyć się inną metodą. Zarzucił lasso na szyję zwierzęcia, a drugi jego koniec przywiązał do swego siodła. Lina naprężyła się, gdy Mark cofnął konia, i krowa zaczęła się wynurzać. Ale zaraz ześliznęła się i zajęła poprzednią pozycję.

Na teren wkroczył Keith i zapadł się, muł sięgał mu kolan. Natarł na krowę z boku, chcąc zmusić ją do zmiany pozycji.

- Zostaw ją, Keith! - Mark zeskoczył z konia prosto w mulistą maź i odciągnął brata od krowy. - Kopnie cię i koniec z tobą!



Keith zacisnął usta, dowlóknął się do Marka i wsparł głowę na jego piersi. Mark zmobilizował siły i chwycił Keitha w pól, starając się wypchnąć go z mułu. Adrenalina dodała mu mocy i... udało się! Keith był już na połaci suchszego gruntu. Jeszcze parę chwil walki z błotem i Mark do niego dołączył. Jeszcze trochę wysiłku i stanął na kolanach. Spuścił głowę, zamknął oczy i powiedział:

- Zawsze byłeś mi bliski.

Keith podpełznął do mego, chwycił go za połę kurtki i przycisnął twarz do twarzy brata.

- Nareszcie - rzekł.

Mark spojrzał mu badawczo w oczy. Nie mógł wprost uwierzyć, że ma przed sobą człowieka, którego opuścił w dzieciństwie. Czuł się tak, jakby spadł mu z szyi wielki kamień. Chciał coś powiedzieć swojemu młodszemu bratu, lecz nie znajdował słów.

Keith wstał i wyciągnął rękę do Marka, przypominając sobie lata, gdy ten ratował go zawsze z opresji po podwórkowych potyczkach z kolegami.

Mark nigdy się nikomu nie przyznał, jak bardzo brak mu było Keitha. Chrząknął teraz i bracia uściśniły sobie dłonie.

Keith spojrzał na Marka i rzekł, trzymając za uzdę swego konia:

- Zrobiłeś wielką karierę. Cieszyłem się zawsze z twoich sukcesów.

- Wszystko pięknie - powiedział Mark - ale niech z tą krową inni powalczą. A temat sukcesów też odłożymy na później, bo jestem cholernie głodny. Może zostało z wczorajszego wieczoru trochę pieczonych kurczaków z nadzieją.

Keith uniósł brwi, gwizdnął przeciągle.

- Audrey je przyrządzała? - zapytał. - Ciekawe, czy ma narzeczonego?

Mark przesłał bratu wymowne spojrzenie.

- Jest zajęta - rzekł. - Poszukaj sobie innej.

- Ciekawe - mruknął Keith.

Mark nabrał powietrza w płuca i wykrzywił usta w uśmiechu.

- Studiowałeś psychologię? - zapytał.

Po kolacji Audrey napiła się kawy, a potem zamierzała zrobić pranie.

Zmęczona emocjami ostatnich paru dni, usiadła z kubkiem kawy na ganku od podwórza i zamierzała obejrzeć zachód słońca. Devon poszedł spać do Helen, więc Audrey była sama.

Keith miał wieczorem wyjechać do Denton. Tegoż popołudnia Audrey zauważyła, że Mark przyjacielskim gestem poklepuje Keitha po plecach, a Keith uśmiecha się od ucha do ucha. Jakby coś sobie właśnie uzgodnili.

Ucieszyła się. Za parę dni wyjeżdża - i uczyni to teraz z lżejszym sercem. Miała dwojakie odczucia - z jednej strony chciałaby rzucić się w objęcia Marka, wyznać mu wszystko i prosić o wybaczenie. A z drugiej - zdawała sobie sprawę, że niełatwo by jej wybaczył. Z bratem pogodził się dopiero po jedenastu latach. Ten fragment jego przeszłości, o jakim wczoraj się dowiedziała, budził w niej niepokój. Co sprawiło, że stali się sobie obcy? I dlaczego Mark kłamał, że ich rodzice nie żyją? Nie chodziło jej przecież o materiał do publikacji. Ona, Audrey, chciała o tym wiedzieć dla siebie.

Keith stanął w drzwiach ganku, trzymając w dłoniach kubek kawy.

- Podobno nie brakuje ci odwagi - powiedział. Omal nie zakrztusiła się kawą.

- W jakim sensie? - zapytała.

- Mogę usiąść?

Gdy skinęła głową, mówił dalej:

- Mark powiedział mi, że odciągnęłaś go... stosując dość ostre metody.

Keith najwyraźniej zaczerwienił się, ale wzrok wciąż miał utkwiony w dekolcie Audrey.

Zacisnęła usta, chcąc utrzymać powagę. Musieli widocznie szczerze ze sobą porozmawiać, myślała.

- Nie mogłam znieść jego pijaństwa. I, jak widać, dobrze się stało.

Keith zdjął okulary i chusteczką przeciera szkła.

- Nie musisz się usprawiedliwiać! Ktoś, kio spowodował, że Mark przestał pić i zajął się pracą na ranchu, zasługuje na złoty medal. - Pochylił się i pocałował Audrey w policzek. - Albo w najgorszym razie na pocałunek - dodał patrząc na nią z podziwem i wdzięcznością.

Audrey uśmiechnęła się i położyła dłoń na jego ramieniu, myśląc, że chciałaby mieć takiego jak on brata. Gdyby wiedział, jak ona Marka oszukała, pomyślała z poczuciem winy...

- Co za urocza scena! - dobiegł ją ironiczny głos Marka.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Audrey cała zamarała, gdy Keith, uściskawszy ją, włożył powoli okulary. Jedno z dwojga, myślała, albo nie wyczuwał narastającej wściekłości Marka, albo wolał ją zignorować.

- Na mnie już czas - stwierdził.

- Zostań, jest impreza! - prawie że krzyknął Mark. - Audrey lubi się bawić - ciągnął. - Najpierw był Dalt, potem Pete, teraz ty...

- Co to ma oznaczać? - zapytała Audrey podniesionym tonem. - Sugerujesz, że ja...

- Właśnie zegnałem się z Audrey - przerwał jej Keith. - A poza tym nie widzę obrączki na jej palcu, więc jest wolna.

- Do diabła! - ryknął Mark. - Nie pamiętasz, że naszej matce te atrybuty związku nigdy nie przeszkadzały?

Audrey siedziała bez ruchu, własnym uszom nie wierząc.

- Powiem ci, bracie, jedno - powiedział Keith. - Zostaw matkę w spokoju. A co do ciebie, to jesteś cholerny zazdrośnik. Masz szczęście - ciągnął - że ja już się zaręczyłem. - Spojrzał na zegarek. - I muszę już iść, bo ona w Denton czeka na mnie.

Na twarzy Marka odmalowało się zdziwienie.

- Żenisz się? Kiedy? Dlaczego nie zawiadomiłeś mnie o zaręczynach?

- Moja wina. Ale miałem wrażenie, że będziesz się starał odwieść mnie od tego zamiaru. Przyjedź do Denton. Chciałbym, żebyście się poznali.

Keith ruszył w stronę drzwi, ale przedtem jeszcze raz uściskał Audrey.

- Do widzenia - rzekł. - Cieszę się, że cię poznałem.

Mark wciąż minę miał nietęgą, gdy Keith objął go i obaj bracia ruszyli w stronę kuchni. Audrey usłyszała jego śmiech i słowa: „ Człowieku, żebyś zobaczył w lustrze swoją twarz... Nie okazuj kobiecie...”

Mark, gdy Keith odjeżdżał, pomachał mu ręką, wymyślając sobie w duchu od idiotów. Na widok brata całującego Audrey w oczach mu pociemniało i serce zaczęło walić. Chętnie przyłożyłby mu wtedy. Czyżby faktycznie był zazdrosny? Nigdy dotąd nie był zaborczy wobec kobiet.

Audrey nie było ani w kuchni, ani w salonie. Wszędzie panowała ciemność. Tym lepiej, do diabła, pomyślał Mark. Pewno poszła spać. Audrey w łóżku. W pościeli. Ten obraz stał się dlań nagle nie do wytrzymania.

Wchodzenie po schodach było również torturą, ale do zniesienia. Noga nocą zawsze boli go bardziej. Lecz nie może z tym czekać do jutra. Nie zaśnie, póki jej nie wytłumaczy, dlaczego tak się wygłupił. Ona musi zrozumieć...

Zapukał nieśmiało do jej drzwi.

Cisza.

Zapukał znowu, kilkakrotnie.

Żadnej reakcji

- Audrey, czy możemy chwilę porozmawiać? – zapytał spokojnym, rzeczowym tonem.

Odejdź stąd.

- Musimy omówić pewną sprawę. Wpuść mnie.

- Daj mi spokój. Nie chcę z tobą rozmawiać.

- Jeśli mi nie otworzysz, to wyważę drzwi.

Otworzyła. Staneła w progu.

- O co chodzi? - zapytała ostro.

Mark milczał, tylko patrzył na nią.

Włosy opadały jej na ramiona, złociste, lśniące.

Na widok Audrey w szlafroku, serce zaczęło mu walić. Szlafrok był bez rękawów, z dekoltem, sięgał ziemi. Gdy skrzyżowała ramiona, zaznaczył się wyraźnie zarys piersi. Zapragnął dotknąć jej ciała.

Zrobiło mu się gorąco.

Jej chyba też. Ale ze złości. Patrzyła na niego przymrużonymi oczami, usta miała zaciśnięte.

- Mów! Słucham.

Zapomniał na śmierć, co miał jej powiedzieć. No, pomyśl, Malone, zaklinał się w duchu.

- Bo ja... - Dotknął dłonią ust, czoła. - Bo ja cię przepraszam. ..

Wyglądała na jeszcze bardziej rozgniewaną.

- Nie przyjmuję przeprosin! - Zrobiła gest, jakby chciała zamknąć mu drzwi przed nosem.

Lecz Mark przytrzymał je dłonią i wszedł za nią do pokoju.

- Na litość boską, Audrey, musisz mnie wysłuchać. Wiem, że zachowałem się jak głupek, ale...

- Cieszę się, że choć w jednej kwestii jesteśmy zgodni. A teraz wynoś się!

Powiedziała to głosem drżącym, ale stanowczym. Wskazała mu drzwi, a on od jej ciemnych brodawek, prześwitujących przez tkaninę szlafroka, oczu nie mógł oderwać.

Nie mógł również zebrać myśli i przystąpić do kontraktaku. Broń, jaką ona dysponowała, oznaczała tylko jedno - jego sromotną klęskę. Zresztą, myślał, mógłby nawet ponieść tę sromotną klęskę, gdyby ona podczas wafla miała na sobie ten przezroczysty szlafroczek.

Stał bez ruchu i milczał. Jedyne, czego pragnął, to wziąć ją w ramiona i całować tak długo, póki jej gniew nie przemieni się w namiętność.

Zbliżył się do niej, objął ją i mocno do siebie przytulił.

Audrey żałowała, że otworzyła te cholerne drzwi. Walczyła z nim jeszcze, odpychając go od siebie pięściami.

A on westchnął głęboko i spojrzał jej w oczy.

- Keith miał rację - rzekł. - Cholernie się wygłupiłem.

Z zachmurzoną miną skrzyżował na piersi ramiona.

- Ale nie miałem racji, prawda?

- Może tak, może nie - odparła.

W jednej sekundzie chwycił ją za ramiona.

- Ty nie jesteś taka! Powiedz, że nie jesteś taka!

Ból w jego oczach rozbroił ją. Westchnęła.

- Ja jeszcze z nikim... rozumiesz? Na jakiej podstawie traktujesz mnie w ten sposób!

Uniósł głowę, spojrzał w dal.

- Kobiety to niewierne plemię - rzekł.

- Nie uogólniaj. Wyobrażasz sobie, żeby Helen zdradziła Johna?

- Wyjątek potwierdza regułę - powiedział i oczy mu rozbłyły, jakby jakaś inna myśl przyszła mu do głowy. - Ciebie też sobie nie wyobrażam. - Odwrócił wzrok. - Ale większość kobiet lubi odmianę. Moja matka na przykład nie wytrzymałaby z jednym mężczyzną.

Uderzyła ją gorycz w głosie Marka.

- Twoja matka zdradzała swego męża? To dlatego powiedziałeś mi, że twoi rodzice nie żyją? Rozwiedli się?

Milczał, a ona nigdy dotąd nie widziała takiego wyrazu jego twarzy.

Wzruszył ramionami. Wciąż patrzył gdzieś w dal.

- Dla mnie oni umarli.

Jak można nic nie wiedzieć o swoich najbliższych, myślała. Nic nie wiedzieć, co się z nimi dzieje.

Mark przerwał tok jej myśli - pochylił się i pocałował ją, jakoś inaczej, bardziej czule, a potem, obejmując ją obiema ramionami, szepnął jej do ucha:

- Pozwól mi tu zostać, Audrey.

Zawahała się. Miała mętlik w głowie. On cię nie kocha, myślała. Przestań się zadręczać, skończ z tym i wyjedź.

A jak ona zniesie tę samotną noc, jak wyciszy tęsknotę?

Ile będzie tych nocy, ile będzie tych poranków... Gdy obudzi się sama, stęskniona do pieścizot Marka?

Drogo zapłaci za swoje tchórzostwo. A powinna była zaryzykować...

Kryjąc twarz na jego piersi powiedziała:

- Dobrze.

Uniósł jej podbródek, by musiała spojrzeć mu w oczy.

- Czy aby na pewno? - zapytał i to jego pytanie sprawiło, że nie miała już żadnych obiekcji.

- Tak - odparła.

Przytulił ją mocno i rzekł:

- Pocałuj mnie, Audrey.

Zarzuciła mu ramiona na szyję, czując na twarzy żar jego oddechu. Poddawała się temu żarowi i już nic nie było ważne - ani jej praca, ani kompleksy, jakich jej nie brakowało, ani wątpliwości, jakimi zadreślała się ciągle.

Całował jej szyję, piersi, coraz gwałtowniej, coraz bardziej zaborczo.

- Jak ja kocham twój zapach, Audrey! - szepnął, i szeptał jeszcze inne słowa, a w niej z każdą chwilą narastało pożądanie, nad którym nie chciała już panować.

- Chcę cię widzieć, kochanie - powiedział niskim, ochrypłym głosem.

Zanim dotarł do niej sens słów Marka, poczuła, że zsuwa z niej szlafrok.

Nie! Odtrąciła jego rękę.

Dłoń Marka zawisała w powietrzu, na krótką chwilę...

O, Boże, myślała, niechby to się działo, ale pod koldrą. Albo chociaż po ciemku! Opuściła wzrok.

- Mam odejść? - zapytał.

- Nie!

Spojrzała na niego.

Drgały mu mięśnie policzków, a oczy miał jak niebieskie kostki lodu.

Zmarszczył brwi.

- No bo... wiesz - jąkała się. - Ja nie jestem... szczupła.

Odetchnął z wyraźną ulgą, twarz rozjaśnił mu uśmiech.

Wziął pasmo jej włosów i bawił się nim.

- Jesteś naprawdę wspaniała!

Całował jej policzki, szyję, usta - coraz głębiej, coraz bardziej namiętnie, a ona poddawała się woli Marka, chłonąc zapach jego ciała.

Raptem odsunął się od niej. Zamarła.

Zdjął buty, rzucił, gdzie popadło, rozpiął koszulę.

I czekał.

Dreszcz ją przeszył, bo uświadomiła sobie, że teraz kolej na nią, że ona powinna wykazać inicjatywę. Drżącymi palcami dotknęła jego piersi pokrytej miękkim owłosieniem. Koło obojczyka wyczuła długą pionową bliznę, a poniżej prawej brodawki kilka małych, o owalnym kształcie. Musiał znaleźć się przed laty w skrajnie niebezpiecznych sytuacjach. Pocałowała te blizny. Zadrżał pod dotknięciem jej ust. Ściągnęła koszulę z jego ramion, w czym skutecznie jej pomógł. A potem powiedział:

- Teraz ty.

O, Boże! On miał tak piękne ciało, jak wyrzeźbione dłutem artysty. Ani grama tłuszczu pod skórą. Jak ona może mu się pokazać? Jakby wiedziona wewnętrznym nakazem, zaczęła jednak rozpinać szlafrok.

A on rozpalonym wzrokiem śledził jej ruchy, gdy odpinała guzik po guziku. Przy piątym zatrzymała się, wtedy on niecierpliwym gestem wyłuskał jej pierś spomiędzy fałd ciężkiego materiału.

- Cudo - szepnął, jakby pełen szacunku dla piękna natury.

Wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka. Pomyślała z lękiem, że przecież jest za ciężka, krzyknęła: - Nie! - ale na nic się zdały jej protesty.

Leżąc już przy niej, pomógł jej wyzwolić się w końcu ze szlafroka. Ujął jej dłoń.

- Dotknij mnie. Przekonaj się, jak bardzo cię pragnę.

Była porażona, zafascynowana... Nie zatrzymał jej dłoni, więc wiedziona instynktem...

Jęknął. Obrócił się i z ustami na jej ustach przywarł całym ciałem do jej ciała. Jego oddech palił ją żywym ogniem, a jego dłonie pieszczące jej łono, rozwierające jej uda, przemieniały świat w bajkę...

Jego ręce odgadywały jej myśli, pragnienia.

Puls rozsadzał skronie Audrey, świat wirował jej przed oczami, a ona chciała więcej, pragnęła czegoś, z czego nie zdawała sobie w pełni sprawy.

- Mark! - krzyknęła.

A on cieszył się jej radością, dumny, że może jej tyle dać. A im więcej jej dawał, tym więcej doznawał rozkoszy. Gdy uchyliła powieki, dostrzegł płomień w jej zielonych oczach.

Szepnęła jakieś czułe słowo, ale on zamknął jej usta pocałunkiem, jakby chciał poznać smak tego słowa.

- Mark, proszę cię... już, teraz...

Wiła się pod nim, szeptała coś.

Chwila otrzeźwienia - i myśl - ta jego chora noga... żeby go nie urazić...

Nagle poczuła ból, znieruchomiała z szeroko otwartymi oczami.

Mark zacisnął zęby, nakazał sobie cierpliwość. Czyżby to był jej pierwszy raz? Dlaczego, do diabła,

nie wspomniała mu o tym? Żadna dziewczyna w jej wieku nie jest już dziewicą.

Z wyjątkiem Audrey.

Odgarnął grzywkę z jej czoła.

- Przepraszam - rzekł. - Dobrze się czujesz?

- Świetnie.

Podniosła głowę i pocałowała go w usta, policzki, oczy. Chwyciła ustami skraj jego ucha.

A on już siebie nie kontrolował. Aż sam usłyszał swój zduszony krzyk.

Oddychając ciężko, przytulił twarz do jej szyi. Chłonał zapach jej ciała. Nie chciał odchodzić. Chciał być w niej jak najdłużej. Zatrzymać rozkosz.

Nasycony, ukojony zapadł w sen. I przez sen dotarły do niego jej słowa.

- Kocham cię.

Audrey nie spała, przeżywała to, co się stało, każdy ułamek chwili. Palce jej błądziły po jego karku, przeczesały jego bujną czuprynę. Nawet w najśmielszych wyobrazeniach nie przypuszczała... To, co się stało, przekraczało jej najbardziej romantyczne wizje.

Przywoływała w pamięci słony smak jego skóry oraz to, jak pod jej dłonią ciało jego się preży, twardnieje. Kochała to uczucie pełni, gdy z jego piersi wydobył się krzyk, jęk...

Spojrzała na jego głowę wspartą o jej piersi, uśmiechnęła się i poczuła, że oczy jej się kleją... Zasypia.

Obudziła się, zamrugwała powiekami. Dlaczego pali się lampka na szafce nocnej?

Spojrzała na niego, napotkała jego wzrok.

- Kochanie, dlaczego nie powiedziałaś mi, że jeszcze nigdy nie byłaś z mężczyzną? - zapytał nawijając sobie na palec pasmo jej włosów. - To twój naturalny kolor, prawda?

Chwycił dół jej szlafroka i ściągnął go z niej, mimo jej protestów. A ona skrzyżowała ramiona, osłaniając się choć trochę przed jego wzrokiem.

Zacisnęła oczy, wstrzymała oddech. O, Boże, myślała, jeśli powie coś o jej nadwadze, to ona chyba tego nie przeżyje.

- Masz przepiękny mały brzuszeczek, dziecinko - szepnął



wspierając się na łokciu, dotykając jej przymkniętych powiek. - Audrey, spójrz na mnie.

Przemogła się, spełniła jego życzenie.

- Jesteś piękna. Podobasz mi się właśnie taka, kochanie.

Patrzyła w sufit i czuła, jak łzy spływają jej po policzkach.

Wytarł je delikatnie dłonią.

- Czy naprawdę nie wiesz, że jesteś piękna? - zapytał.

- Piękna? - Potrząsnęła głową. - Moje siostry są piękne. A ja? Wiem, jaka jestem.

Pocałował to pasmo jej włosów, którym się bawił.

- Masz oczy tak soczyście zielone jak moje łąki na wiosnę. - Pocałował ją. - Usta, które wabią. - Błądził ręką po jej twarzy, szyi, dotknął jej piersi. - I jesteś cudownie ciepła i miękka, nie jak te wszystkie anorektyczne modelki.

Nikt jeszcze tak do niej nie mówił. I wzrokiem nakazywał jej wierzyć w swoje słowa. Prawie że uwierzyła, iż on naprawdę uważa ją za piękną. Gdy spał, nie mogła się powstrzymać i powiedziała, że go kocha. A teraz pragnęła z całej mocy powtórzyć to wyznanie. Wyobraziła sobie jednak wyraz współczucia na jego twarzy albo, co gorsza, rozbawienia. Nie, lepiej nie ryzykować.

Zapagnęła poznać jego ciało.

Obróciła się na bok.

- Co jest? - zapytał marszcząc brwi.

- Teraz ja chcę cię wszędzie całować - rzekła odważnie, z determinacją.

Stało się. Powiedziała. A on uśmiechnął się tak jak wtedy, dawno temu, gdy ją uratował. Na chwilę dech jej zaparło.

Wciąż się uśmiechając obrócił się na plecy, ręce założył za głowę.

- Proszę, kochanie, jestem do dyspozycji. Całowała go - twarz, szyję, ramiona, piersi... W pewnym momencie nadał kierunek jej dłoni. Złękła się, że może uraziła go w nogę, ale nie...

- Przestań już, Audrey - wyszeptał. Pocałował ją i spojrzał głęboko jej w oczy.

- Znowu cię pragnę, dziecinko.

Zapamiętali się oboje w szaleńczym rytmie ciał, który doprowadził ich na sam szczyt rozkoszy.

Mark, zanim zasnął, czekał na jej słowa o miłości. Tymczasem krople łez zwilżyły mu czoło. Uniósł głowę.

- Zadałem ci ból? - zapytał.

Splotła ramiona na jego szyi.

- Nie. Uśmiechnąłeś się.

- Mówiłaś, że było cudownie, a płaczesz, bo się uśmiechnąłem?

- Nieważne.

Westchnęła głęboko, a on przytulił ją mocno do siebie. Zapadli w sen.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Gdy Audrey otworzyła oczy, słońce wyłoniło się właśnie zza horyzontu. Pora wstać, myślała, wziąć prysznic, zrobić śniadanie, ale nie była w stanie przekroczyć granicy realnego świata. Chciała w tym nierealnym świecie pobyc jeszcze choć parę minut. Dojść do ładu z własnymi myślami.

Obudziła się w ramionach Marka, słyszała bicie jego serca. Ich ciała przywierały do siebie od stóp do głów, stanowiły jedność. Nigdy nie zapomni czaru tej nocy. Ani uśmiechu Marka.

Poruszył się, pocałował ją w czubek głowy.

- Od czasu zerwania z piciem to pierwsza noc, jaką przespałem - powiedział.

Niezbyt romantyczne wyznanie, pomyślała Audrey.

- Nie chce mi się wstać, tak mi dobrze z tobą.

Obrócił się i pocałował ją namiętnie w usta.

Jego bliskość, zapach jego ciała, moc tego ciała wzmogły w Audrey przeczucie bólu, jaki będzie przeżywać każdego ranka.

- Pragnę cię - szepnął.

- Muszę szykować śniadanie, bo przecież... Zamknął jej usta pocałunkiem.

Przestała myśleć o pustych rankach w przyszłości, o szykowaniu śniadania. Ważny był tylko on i to, co działo się między nimi teraz.

- Mark, a twoja noga? - zapytała nagle.

Dlaczego ona o to pyta, pomyślał. Czy to wyraz współczucia dla biednego kaleki? Czy może ciekawi ją, jak wygląda taka okaleczona noga? Nie, co to, to nie, to do niej niepodobne.

- Przepraszam, Mark - powiedziała. - Pewno wolałbyś o tym nie mówić.

- Hmm... No tak. Masz rację, robi się późno. Muszę zająć się gospodarstwem.

Nie patrzył na nią, gdy sięgnąwszy po części garderoby, zaczął się ubierać. Dziwne, myślał, że kochając się z nią, zupełnie zapomniał o swoim kalectwie. Ona, jej ciało, jej pieszczoty wyparły wszelkie inne myśli.

Znalazł w końcu buty, włożył je. Gdy ruszał w stronę drzwi, uderzyła go panująca w pokoju cisza. Obejrzał się, popatrzył na Audrey.

Wyglądała tak pięknie z opadającymi na ramiona włosami... Obawiał się, że będzie na niego zła, że będzie miała żal, iż tak nagle...

Tymczasem w oczach jej dostrzegł zakłopotanie, smutek

Co on ma jej powiedzieć? Że nie chce jej litości? Nie, nie powie tego.

- No wiesz, ja... - zaczął. Chrząknął i spróbował jeszcze raz: - No bo...

- No bo... zrobiło się późno - rzekła z sarkastycznym uśmiechem. - A sporo roboty nas czeka. Więc jeśli mógłbyś. - Tu uczyniła gest dłonią.

Wyprasza go?

Wiedział, że chroni w ten sposób swą dumę. Nie mógł mieć o to do niej żalu. Ale nie chciał tak po prostu wyjść. Tylko że nie miał pojęcia, co jej powiedzieć... A przecież wyznała mu, że go kocha.

Przelknął ślinę.

- Audrey, ja właśnie...

- Tak, ja też... Muszę wziąć prysznic przed śniadaniem.

- Niech to szlag trafi, Audrey! - Zawrócił i podszedł do łóżka, ujął jej twarz obiema dłońmi, zmuszając ją, by spojrzała mu w oczy.

- Wysłuchaj mnie, dziewczyno! Ta noc była cudowna, fantastyczna!

Chwycił ją za ramiona i pocałował w usta, mocno, z pasją.

Uniósł powoli głowę, wyprostował się i ruszył ku drzwiom.

- Zobaczmy się po południu - rzekł.

Patrzyła za nim ze zmarszczonymi brwiami, nie wiedząc, co o tym wszystkim myśleć.

Noga bolała Marka przez cały dzień. Jazda traktorem na pewno mu nie pomoże, ale to nieważne, natomiast gdy dosiądzie konia, coś ważnego sobie udowodni.

Bo noga nie była jedynym jego zmartwieniem.

Po kolacji porozmawia szczerze z Audrey. Dość tego zadręczania się. Ta ostatnia noc... Już na samo wspomnienie tej nocy serce biło mu przyspieszonym rytmem, już sama myśl o tej dziewczynie budziła w nim tęsknotę. Jak dobrze im było razem! Żadna dotąd kobieta tak nim nie zawładnęła. Uśmiechnął się, myśląc o jej wyznaniu.

Audrey wiedziała, że on nie chce rozmawiać o swojej kalekiej nodze. Więc nie będą rozmawiać.

Mark miał jeszcze trochę papierkowej roboty, ale pał sześć robotę, może poczekać. Zaprosi Audrey do swego pokoju i przekona ją, że nic nie jest ważne poza szczęściem...

Jakże pragnął być z nią już, teraz. Ciekawe, myślał, kiedy i dlaczego Audrey stała się dla niego tak ważna. Była uparta, przekorna; ale, niech to szlag, to właśnie w niej lubił.

Uśmiechnął się przypominając sobie, jak wylała do zlewu jego piwo. Był jej pierwszym mężczyzną! Przekonał się o tym. Powinien chyba mieć wyrzuty sumienia, że odebrał jej dziewictwo. Ale nie miał! Tylko że...

Przerażała go myśl, że Audrey będzie z kimś innym. Ale to przecież nieuniknione! Będą razem jeszcze parę tygodni. Może miesiąc. Miał taką nadzieję.

Gdyby przed paroma tygodniami ktoś mu powiedział, że on zechce dłużej zostać z kobietą, uznałby, że ten ktoś upadł na głowę. A teraz on, Mark, pragnął tego. Pragnął być z kobietą, która go chce, która go kocha. Co prawda ta kobieta nie kocha Marka Malone. Ona kocha Samotnego Kowboja. Legendę. Bohatera. Ale dobre i to.

- Mark, uważaj! - krzyknął Jim dosiadający swego konia. Machał kapeluszem, jakby rozwiewał dym.

Mark zahamował. Wyjął z kieszeni chustkę i wytarł twarz. Omal nie wpadł na Jima.

- Wyglądasz jak nie z tego świata. Suszy cię?

- Uhum...

A co, miał powiedzieć? Że marzy o Audrey? Że pragnie pieścić jej piękne, pełne piersi?

- Może ja skończę tę robotę - zaproponował Jim.

- Nie - odparł Mark, choć cholerna noga bolała go. - Wszystko gra. Nie ma sprawy.

- Miło mi było - ciągnął Jim, zawracając konia – spotkać się wczoraj z twoim bratem.

Mark skinął głową. Czy to wczoraj pokłócił się z Keithem? Czy to wczoraj w nocy Audrey została jego dziewczyną? A miał wrażenie, że to wszystko działo się przed wiekami.

Potrząsnął głową. Co on wyprawia? Wzdycha do niej jak jakiś zakochany sztubak! Chyba dostał udaru słonecznego. Uruchomił silnik traktora i rozpoczął siew trawy.

Audrey nie mogła się opędzić od wspomnień tej nocy, a serce jej drżało niczym galaretka na szarlotce, jaką dziś upiekła.

Nie wolno ci płakać, droga Audrey Tyson, mówiła sobie w duchu. Sama podjęłaś taką decyzję, pamiętaj. Chciałaś być kobietą doświadczoną.

Westchnęła. Warto było jednak z takim jak Mark mężczyzną. Jeśli nawet sprawił jej trochę bólu... Przez krótką chwilę stał się jej magicznym lustrem odbijającym wizerunek pięknej i pociągającej kobiety.

A najważniejsze, iż to ona sprawiła, że się uśmiechnął.

Nie, ona tej nocy nigdy nie będzie żałować. W nim zaś, dzięki niej, rozpoczęła się wielka psychiczna odmiana.

Dlaczego zapytała go o nogę? Miał kompleks na tym tle i nie ma się czego dziwić. Po tej nocy stał się kimś tak jej bliskim, że chciała wszystko o nim wiedzieć. O jego przeszłości, marzeniach, dzieciństwie... Co to on wczoraj powiedział? Coś w tym sensie, że to on zostawił Keitha, bo chciał trzymać się z dala. Od kogo? Od matki. Chyba nigdy się tego nie dowie.

I to właśnie było bolesne - świadomość, że on nigdy jej nie pozwolił tak bez reszty zbliżyć się do siebie. Kochankowie to nie tylko seks - to dzielenie się sobą, wszystkim, co ważne w życiu. Przynajmniej ona, Audrey, takie zajmuje stanowisko w tej kwestii. Ilekroć jednak zadała Markowi jakieś osobiste pytanie, zbywał ją.

Wymowała właśnie sałatę z lodówki, gdy usłyszała kroki tuż za sobą. Nie zdążyła się obrócić, gdy objął ją w pól.

Ale to nie był Mark.

Pete tak mocno ją uściskał, że nie mogła złapać tchu.

- Pokażę temu cholernemu kalece, że ze mną nie ma żartów - powiedział. Chuchał na nią nieświeżym oddechem i pochylając się, próbował pocałować ją w usta. Nie miała żadnych szans. Wcisnął ją w kąt między lodówką a półką z nożami.

- Odkąd cię zobaczyłem, marzyłem o tobie, nagiej, bez tych łąszków!

Audrey udało się chwycić trochę powietrza i odchylić głowę, uciec przed jego pocałunkiem.

- Puść, Pete, nie mogę oddychać!

Skorzystała, że zwolnił trochę uścisk i odepchnęła go z całych sił.

Aż oparł się o stół, czerwony z wściekłości.

- Ty wiedźmo! - wrzasnął i mało brakowało, a chwyciłby ją za gardło.

Lecz Audrey zrobiła unik w prawo, chcąc dosięgnąć szuflady ze szczypcami do lodu.

Chwycił ją, wykręcił do tyłu jej ramiona.

Obróciła się, kopnęła go w łydkę, ale efekt był taki, że Pete ścisnął ją jeszcze mocniej. Chwycił za włosy - poczuła na szyi jego wilgotne wargi.

- Nie wysilaj się, Audrey, szkoda zachodu, już cię mam.

Mark z uśmiechem na ustach podjechał traktorem w zacienione miejsce. Ujrzał po chwili zbliżającego się do niego Johna.

- Cieszę się, że dogadałeś się z Keithem - powiedział John skinąwszy mu głową.

- Ja też się cieszę. Wiesz, że on się żeni? Aż nie chce mi się wierzyć, że mój braciszek jest na tyle głupi, by ściągać sobie na kark taki kłopot. - Uniósł dłonie do góry, niby to prosząc Johna o wybaczenie. - W niczym nie uchybiając Helen, rzecz jasna.

John utkwiał w Marku pełen powagi wzrok.

- Małżeństwo z Helen to najmądrzejsza rzecz, jaką udało mi się w życiu zrobić.

- Mam nadzieję, że Keith wie, w co się pakuje - powiedział Mark, wzruszając ramionami.

- A ty? Nie przyszło ci nigdy na myśl, by wziąć byka za rogi?

- Ja? Broń mnie, Boże! - Mark był tak zdziwiony, jakby John zaproponował mu wyścigi na golasa, po mieście.

- No to do jutra - rzekł John. - Moja żona czeka na mnie z kolacją.

Marka natomiast czekała dziś kolacja z Audrey.

Umył się, po czym skierował kroki do kuchni, starając się wymóc na sobie przekonanie, że to, co się dzieje, ma charakter wyłącznie tymczasowy.

Gdy stanął w drzwiach kuchni, serce w nim zamarło i uleciały z głowy wszelkie myśli.

Pete i Audrey stali w kącie między kuchnią a lodówką. On jedną ręką trzymał ją za gardło, drugą - za głowę, usiłując pocałować ją w usta.

Audrey walczyła z nim, szarpała go za włosy, na jej twarzy malowało się przerażenie.

Wściekłość przesłoniła Markowi wzrok. Podbiegł do Pete'a, chwycił go za ramiona i z całej siły uderzył w twarz.

Pete upadł z łomotem na podłogę.

Mark chętnie by go udusił.

- Wstawaj, skurczybyku!

- Sama się o to prosiła! - rzekł nie podnosząc się z podłogi.

Mark zacisnął mocno pięści, z trudem powstrzymując się, by nie unieść go za koszulę i nie rozplątać mu gęby do krwi.

- Daję ci pół minuty. Masz spakować manatki i wynieść się z mojej farmy, nim wezwę szeryfa. A jak się tu jeszcze raz pokażesz, zabiję cię!

Pete podniósł się i wytarł kapiącą mu z nosa krew. Bez słowa wyszedł z domu.

Mark obrócił się ku Audrey, która padła mu w ramiona.

- Czy on zrobił ci krzywdę, kochanie? - zapytał, gładząc ją po włosach.

- Nie - odparła z twarzą przy jego piersi.

Cholera, myślał Mark, jest cała roztrzęsiona. Zabiłby tego sukinsyna, gdyby go dorwał.

- Wybacz mi, kochanie. Nie sądziłem, że odważy się na coś podobnego. Zadzwoń zaraz do szeryfa.

Jeszcze mocniej przywarła do niego.

- Nie odchodź.

Mimo że był wściekły, uśmiechnął się, i przytulał ją, pocieszał.

- Nie mam zamiaru.

Odpowiadała mu ta rola - wybawcy, opiekuna, kochanka. Audrey jest jego dziewczyną i on zrobi dla niej wszystko. Czuł, jak drży, i koszulę na piersi miał mokrą od jej łez.

- Czy na pewno nic ci nie jest? - zapytał. - Gdzie jest Devon?

- Helen zabrała go do zoo.

Mark pochylił się i zajrzał jej w oczy.

- Pete nie tknie cię już więcej, masz moje słowo. Audrey uśmiechnęła się do niego przez łzy.

- Już w porządku, Mark.

Podeszła do płyty kuchennej, unikając jego wzroku. Chwyciła ścierkę i wyjęła ciasto z piekarnika.

Mark otoczył ją ramieniem i musnął ustami jej policzek.

Audrey w jego ramionach czuła się bezpiecznie. Chciałaby, żeby wiecznie to trwało.

Nigdy nikt do tej pory tak jej nie zaatakował. Pete to silny chłop. Wołałaby oczywiście sama odeprzeć jego atak, ale to było absolutnie niemożliwe.

Tak czy owak, jedno nie ulegało kwestii - Mark znowu ją uratował z opresji, a ona kocha go i gotowa byłaby kochać się z nim tu, na kuchennym stole, gdyby nie to, że Jim i Dalt mogli każdej chwili zjawić się na lunch.

Co jej w ogóle przychodzi do głowy? Musi nakazać sobie spokój i pamiętać o tym, co postanowiła tego ranka. Jedna noc - w porządku. Ale gdyby się to miało powtórzyć, straciłaby do

siebie cały szacunek. A poza tym mógłby się dowiedzieć, kim ona naprawdę jest. Najwyższy czas nakrywać do stołu.

W oczach jego błyszczało pożądanie, gdy wodził za nią wzrokiem. Z widowym wysiłkiem trzymał ręce przy sobie.

A ona wyciągnęła ramiona, jakby w obronie własnej. Dotknęła dłońmi jego piersi i poczuła przyspieszony rytm serca Marka. Chwyił ją za ręce i pochylił się, chcąc ją pocałować.

Nie! Odwróciła głowę. Nie wolno jej dopuścić do pocałunku.

- Nie jesteś głodny? - zapytała.

- Tak, bardzo - odparł skinąwszy głową, z uśmiechem. Ten uśmiech zaskoczył ją. Wciąż wywoływał w niej zdziwienie. Oparła czoło o jego pierś. Zapach jego potu podniecał ją.

Chwyił ją pod brodę i uniół jej twarz.

- Jesteś speszona, tak? Czuję to. Po naszej nocy? - Wyciągnął te swoje silne ramiona, przytulił ją i ucałował czule. - Złękłaś się Pete'a, nie ma się co dziwić. Ale ja nigdy nie zrobię ci krzywdy - powiedział przytłumionym głosem.

-Mark!

Ten pocałunek był inny, pocałunek kochanka.

- Pragnąłem cię od samego rana, dziecinko. Odsunęła się od niego.

- Nie powinniśmy... - zaczęła. Przeszył go chłód, opuścił ramiona.

- O czym ty mówisz? O co chodzi?

Zebrała się na odwagę i spojrzała mu w oczy. Westchnęła ciężko.

- Usiądź - rzekła. - Chcę ci coś powiedzieć.

- Nie muszę siadać, słucham cię.

Kroki dobiegające z ganku zakończyły rozmowę, nim się zaczęła. Kolacja. Audrey rada była z tej przerwy, ale Mark zaklął pod nosem, po czym zaczął rozkładać na stole sztućce i talerze.

Gdy zakończył tę czynność, skrzyżował ramiona na piersi i powiedział:

- Nie myśl, że to jest koniec, kochanie.

Po kolacji Mark uznał, że ma już dość - Audrey zachowywała się tak, jakby był jakimś potworem. Czy Pete aż tak ją wystraszył? Przecież ona musi wiedzieć, że on nigdy by się nie poważył...

Wszedł do kuchni, wziął ścierkę, żeby wytrzeć naczynia. Im szybciej uporają się ze sprzątaniami, tym szybciej będą mogli... porozmawiać.

Lecz gdy wycierał ostatni talerz, Audrey zrobiła unik i wymknęła się z kuchni. Podążył za nią i dopadł ją już na schodach. Chwyił ją za rękę.

- Nie tak szybko, kochanie. Co miałaś mi do powiedzenia?

- Nic szczególnego. Devon czeka na mnie, miałam mu pomóc...

Chciała wyrwać rękę, ale nie dała rady, mocno ją trzymał.

- Ja mu pomogłem... śpi teraz twardym snem.

Mark lubił, jak Audrey stała parę stopni wyżej niż on. Nie musiał wtedy bardzo się nachylać, by sięgnąć jej ust. Przymknął oczy i wdychał cytrynowy zapach jej ciała.

- Powiedz, Audrey, dlaczego nie chcesz... - mówił z ustami tuż przy jej ustach.

Odsunęła się od niego.

- Mark, proszę cię! Nie mogę myśleć, gdy jesteś tak blisko.

- To nie myśl.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował w jej czule miejsce za uchem.

- Mark, ja nie mogę...

- Dlaczego?

- Wyjeżdżam za dwa dni. Zapomnijmy o tym, co się stało.

- Zapomnieć? Co ty mówisz, do diabła?!

Odetchnął głęboko parę razy, by się uspokoić.

Musi jej to wybić z głowy. Po wspólnej nocy nie mógł sobie nawet wyobrazić budzenia się rano bez niej. Spokój zapanował w jego duszy. I nigdy od tamtej pory nie spał tak dobrze. Za pierwszym razem - zdawał sobie z tego sprawę - trochę się pospieszył, ale przecież wiedział, że było jej dobrze. O co więc chodzi? W czym tkwi problem?

Szeptał jej czule do ucha.

- Czy zapamiętałaś, jak było ci dobrze? Jak drżałaś i chciałaś jeszcze? Bo ja już nigdy nie zapomnę tych chwil, gdy byliśmy połączeni, nie zapomnę twoich rąk dotykających mego ciała. Zostań ze mną tej nocy i przestań, na Boga, myśleć o wyjeździe!

Od perswazji przeszedł do pocałunków, a te pocałunki o jakimś niebywałym wręcz natężeniu uczuć, wyzwoliły w niej szaleństwo.

Lecz po szaleństwie przyszło otrzeźwienie. Audrey wróciła do rzeczywistości, choć wymagało to z jej strony wielkiego wysiłku.

- Nie mogę - powtórzyła, odepchnęła go i skierowała się w stronę schodów. - Dobranoc, Mark.

Dogonił ją na półpiętrze, chwycił za rękę.

- Jaką grę ty ze mną prowadzisz?

Wyrwała mu się.

- To była pomyłka - zaczęła. - Ja nie jestem tą osobą, za jaką mnie uważasz.

Przeżona tym, co powiedziała, przyłożyła dłoń do ust. Zapadła groźna cisza. Ale ku zdziwieniu Audrey Mark był bardziej zaskoczony niż zły.

- Co masz na myśli? - zapytał.

Jak po takiej nocy mogłaby mu wyznać prawdę? Co on by sobie o niej pomyślał? Uciekła spojrzeniem. Utkwiła wzrok w podłodze.



- Nieważne - rzekła.

- Jak to nieważne? Co ty opowiadasz?

Nerwowo szukała w myślach słów, które zraziłyby go do niej, po których nie chciałby jej więcej widzieć. Musi posłużyć się jakąś półprawdą.

- Słuchaj, Mark. Mnie nie chodzi o romans. Ja chcę czegoś więcej. Chcę mieć dom, rodzinę, dzieci. A tobie na tym nie zależy - zakończyła z nutą żalu w głosie.

Miał przerażoną minę.

- Dzieci? No nie, do diabła!

Oczywiście, pomyślała z goryczą i ogromnym bólem. Jak mogło jej nawet przyjść do głowy, że on, Mark, chciałby związać się z nią na stałe? Przecież tyle jest pięknych dziewcząt w Teksasie, które marzyłyby o wydaniu się za niego!

Poczuła się upokorzona, odrzucona... W takim stanie ducha mogła pójść tylko do swojej sypialni.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Audrey stała pod dębem i obserwowała scenkę rozgrywającą się w zagrodzie. Słynny kowboj tłumaczył coś małemu chłopcu cierpliwie i z niezmaconym spokojem. W latach, które nadejdą, myślała, będzie wspominać nie tylko tę cudowną noc, ale również taki widok.

Mark głąaskał kucyka, a Devon, trzymając cugle, słuchał instrukcji, jak obchodzić się z konikiem, aby słuchał jego komend.

- Macie ochotę na ciastka z lemoniadą? - zawołała Audrey.

Nie liczyła na Marka. Od wczorajszego wieczoru atmosfera między nimi była dość napięta. Prawdopodobnie będzie jej unikał. Wiedziała, że jej nie kocha, ale mimo tej bolesnej świadomości serce jej biło na jego widok.

Pospieszyła do domu, choć wiedziała, że zejdzie im jeszcze jakieś piętnaście minut. Mark musi mieć pewność, że Devon potrafi obchodzić się z kucykiem i karmić go. Devon powtarzał potem ciotce z uroczystą miną słowa kowboja.

Audrey wyjęła z lodówki dzbanek z lemoniadą, z szafki - parę kubków. Z piekarnika wyciągnęła blaszkę z ciastkami i przełożyła je na paterę. Usłyszała niebawem, jak Mark poucza chłopca, by wycierał buty. Czy Mark wejdzie z małym do kuchni? - myślała, a serce biło jej mocno.

- Widziałas, ciociu, jak jeżdżę? - zapytał Devon, wdrapując się na krzesło.

Mark stał w drzwiach, patrząc z zachwytem, jak Audrey, w zielonym fartuszk, nalewa do kubków lemoniadę.

Domowe ciastka z płatków owsianych. Pachniały pięknie. Gdy obserwował chłopca sięgającego po ciastko, przypomniało mu się własne dzieciństwo, gdy matka nie wpuszczała ich do domu. Wtedy Helen zapraszała chłopców do siebie i częstowała filiżanką czekolady i ciastkami. Wciąż miał w pamięci przerażoną minę Keitha, gdy matka krzyczała na nich przez całe podwórko.

Ciastka Audrey nic tu nie pomogą, myślał. Boże, jak on tej nocy tęsknił do niej! Nie spał, tylko rozmyślał o tym, co mu powiedziała. Wyobrażał ją sobie albo w ciąży, z ogromnym brzuchem, albo z dzieckiem na ręku. Widział ją tulącą małą jasnowłosą dziewczynkę, która mówiła do niego tato. Po raz pierwszy w życiu dopuszczał do siebie taką możliwość.

Ale w tym momencie przypomniał sobie, jak on i Keith uciekali przed gniewem matki, i pas, jakim biła chłopców, gdy ich dopadła. To wspomnienie zmroziło go. Nie, on nigdy nie przywoła dziecka na świat. Żadna kobieta nie jest godna aż takiego zaufania. Audrey była dobra dla swego siostrzeńca, ale on był z nią tymczasowo. Jaka by się okazała, gdyby taka odpowiedzialność spoczywała na niej na stałe? A najważniejsze, jaki on by się okazał?

To nie dla ciebie, Malone, przekonywał się w duchu. Nie wolno ci podejmować takiego ryzyka, stwierdził i poczuł dojmujący ból w sercu.

Zdjął kapelusz, powiesił go na kołku i otarł czoło rękawem. Podeszedł do stołu i sięgnął po ciastko. Co

on wyprawia? Powinien wziąć nogi za pas. To koniec. Tej nocy przekonałeś się o tym. Przestań wreszcie się zadreć!

Ale nogi nie chciały się ruszyć, a oczy - przestać na nią patrzeć.

Gdy Audrey spojrzała na niego, mruknął:

- Przepadam za ciastkami z płatków owsianych.
- Wiem - rzekła. - Od Helen.

Stał i marzył o tym, by go dotknęła.

Devon, chcąc wziąć kolejne ciastko, zbyt gwałtownym ruchem przysunął paterę do siebie. Patera gładkim ślizgiem stoczyła się na podłogę.

Mark, jakby chroniąc chłopca, objął go.

- Nie waż się go dotykać! - krzyknął. - On nie jest winien!

W pokoju zapadła cisza jak makiem zasiał.

Devon siedział z zaokrąglonymi ze strachu oczami. Oczy Audrey natomiast wyrażały bezmierne zdziwienie. Przerwała w końcu tę ciszę.

- Chciałam go zabrać stąd, żeby się nie pokaleczył.

Mark chrząknął, usiłując opanować wzburzenie. Ale się wygłupiłem, pomyślał. Uzna mnie za kompletnego idiotę.

Ona zaś utuliła chłopca i powiedziała, żeby poszedł do sypialni i obejrzał sobie telewizję. Po czym dotknęła ramienia Marka i rzekła:

- Chyba nie sądzisz, że zrobiłabym dziecku krzywdę?
- Nie - odparł krótko, bo bał się, że wyczuje drzenie w jego głosie. Po czym, nie oglądając się, wyszedł na podwórze.

Wieczorem nie wrócił. Audrey, wiedzona jakimś instynktem, postanowiła, że musi go odnaleźć i powiedzieć mu to, co sobie umyśliła. Po kolacji zapytała Ruth i Jima:

- Nie wiecie czasem, gdzie Mark może się podziewać? Ruth wzruszyła ramionami.
- Są tu tylko dwa bary... - Spojrzała na Jima. Ten również wzruszył ramionami.
- Zajrzyj najpierw do Texas Rose - poradził.
- A przypilnujecie Devona? - zapytała.
- Oczywiście - rzekł Jim z uśmiechem. - Nauczę go gry w marynarza.

Audrey przeniosła wzrok na Ruth.

- Gdzie jest Dalt? - zapytała.
- Mieliśmy oboje obsiewać pastwisko - odparła Ruth. Audrey udała się najpierw do domu Helen i Johna, chwyciwszy z wieszaka w ostatniej chwili kapelusz Marka.

Skoro nie zastała go u nich, wzięła samochód i pojechała do Quitman. Było to niewielkie miasteczko. Miała nadzieję, że nie wybrał się do Tyler.

W Texas Rose nie było go jednak. Jego samochód dostawczy stał natomiast przed knajpą „U Sama”. Lokal świecił pustkami jeśli nie liczyć paru facetów o ponurych gębach siedzących w głębi. Kłęby dymu z papierosów unosiły się w powietrzu, a w jednym z rogów, pod sufitem, błyszczał ekran telewizora.

Audrey weszła dalej i ujrzała Marka - stał przy barze, trzymając w dłoni szklankę ze złotym napitkiem. Pasma ciemnych włosów opadło mu na czoło. Tępy wzrokiem wpatrywał się w zawartość szklanki

Przymknęła oczy, wzięła głęboki oddech i ruszyła ku niemu. Widziała wszystko jak przez mgłę, a serce waliło jej, odbijało się echem w uszach.

- Zapomniałeś - powiedziała, kładąc przed nim kapelusz. Obrócił się, błysnął bielą zębów jak wściekły pies.

- Zabieraj się stąd!

Przełknęła ślinę, która jakby tamowała jej oddech. Wyprostowała się.

- Dlaczego? - zapytała.

Przesunął szklankę gwałtownym gestem. Alkohol rozprysnął się na blat baru.

- Jeśli ci o to chodzi, to nie wypilem ani kropli. I nie praw mi kazań!

Jak długo on tak stał ze wzrokiem utkwionym w szklance? Musiał chyba bardzo pragnąć się napić. Ale się nie napił. Łzy podeszły Audrey do oczu, odwróciła wzrok.

- Skoro nie pijesz - powiedziała - to może pojedziemy do domu, do Double M?

Oczy rozbłysły mu groźnie.

- Wynoś się stąd, do diabła, zanim zrobię coś, czego potem będę żałował. A ty lepiej zmiataj do Dallas, dziewczątko bez skazy!

Audrey potrząsnęła głową z uśmiechem.

- Nie skrzywdziłbyś nigdy ani mnie, ani innej kobiety - rzekła.

Złość w jego oczach przemieniła się w smutek.

- Skąd ta pewność? - zapytał.

- Chodź ze mną, to powiem ci skąd - powiedziała, przemagając lęk.

Dopiero po kilku minutach uniósł na nią wzrok. Ale zaraz uciekł spojrzeniem.

- Wyjdź stąd, Audrey. - Stał bez ruchu, nie patrząc na nią. - Proszę cię.

Ostatnim jego słowem towarzyszyło głębokie westchnienie.

- Nie wyjdę bez ciebie - oświadczyła. - A jeśli się zgodzisz, to wyznam ci coś o sobie, zdradzę pewną tajemnicę.

- Jaka? Wlepili ci mandat za nieprawidłową jazdę?

Westchnęła i usiadła obok niego na wysokim stolku.

- Uratowałeś kiedyś z opresji pewną dziewczynę. Pamiętasz?

- Słucham? - Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

Audrey opuściła wzrok. Tamta scena stanęła jej przed oczami, jakby to było wczoraj.

- Po raz pierwszy zdobyłeś wtedy mistrzostwo. Przyjechałeś tam na swojej klaczy. Jakieś pijane chłopaczyska napadły na pewną grubą dziewczynkę, którą uchroniłeś przed Bóg wie czym.

- To byłaś ty - szepnął.

- Tak - odparła patrząc mu prosto w oczy.

- Cholera! - Wstał ze stolka i ruszył ku drzwiom, a na jego twarzy odmalowało się cierpienie.

Jej zaś łzy trysnęły z oczu, gdy co tchu za nim podążyła. Czy znowu powiedziała coś niestosownego?

Było jeszcze widno, a zachodzące słońce rzucało długie cienie.

Mark szybkimi krokiem szedł ulicą. Dogoniła go. Chwyliła za ramię.

- Dokąd idziesz? - zapytała.

- Wracaj na rancho, Audrey. Nie trać na mnie czasu. Nie jestem tego wart.

Co powiedziawszy, ruszył w stronę pola. Uparty jak wszyscy mężczyźni w jej rodzinie, stwierdziła w duchu. Chwycił ją za ramiona, potrząsnął nią.

- Nie potrzebuję twojej litości - warknął.

- Litości? - powtórzyła. - Opowiedziałam ci o tamtej historii, a ty odszedłeś? Chciałam, żebyś wiedział, jak bardzo cię podziwiam.

Z trudem dotrzymywała mu kroku.

- Nie uciekaj, proszę cię.

Raptem odwrócił się, wyrwał z jej rąk kapelusz, który zabrała z baru, zamachnął się nim i rzucił go na łąkę. Po czym rzekł:

- To nie ja uratowałem cię wtedy.

- Co ty opowiadasz? - zapytała zdumiona.

- Uratował cię Samotny Kowboj, którego już nie ma. Koniec, kropka.

Audrey spojrzała na rozgwieżdżone niebo i uznała, że musi zaryzykować. Wyprzedziła go, wsparła dłoń o jego pierś i rzekła:

- Mark, ja kocham cię, nie Samotnego Kowboja.

Odepchnął jej dłoń.

- Nie znasz mnie. Żaden ze mnie bohater.

Stanęła na palcach i pocałowała go w nieogolony policzek, jakby chciała ująć mu cierpienia, jakie dostrzegła w jego oczach.

- Wytłumacz mi, dlaczego twoim zdaniem nie mogę cię kochać.

Wyczuła krople potu na jego skroniach.

- Ale jesteś uparta! - rzekł odwracając się od niej. - Nic nie rozumiesz, nic nie wiesz!

- To pomóż mi zrozumieć.

Mark, wyraźnie poruszony, nabrał w płuca spory haust powietrza. A Audrey czekała w milczeniu.

- Nigdy nie widziałem ojca pijanego - zaczął. - Był zimny, opanowany. Ale matka wiedziała, że on pije. I odgrywała się na nas. W wieku dziesięciu lat miałem już dość tego wszystkiego. Wiedziałem o kochankach matki, bo zabierała mnie często ze sobą, by w razie czego mieć alibi. Wtedy zdradziłem ojcu jej tajemnicę, że Keith nie jest jego synem.

Przerwał, wytarł twarz rękawem koszuli, widać było, jak bardzo jest spięty.

- Tak ją wtedy pobił - mówił dalej Mark - że wylądowała w szpitalu na parę tygodni. A on trafił za to do więzienia. I od tamtej pory zniknął z mego życia, nie widziałem go więcej,

- Mark - jęknęła Audrey kładąc mu rękę na ramieniu. -Przecież byłeś dzieckiem, nie mogłeś przewidzieć, co się stanie.

Objęła go, ale on nawet nie drgnął.

- No i masz swego bohatera - rzekł. - Wciąż twierdzisz, że mnie kochasz?

Łzy spływały jej po policzkach, ale powiedziała spokojnie, patrząc mu prosto w oczy.

- Tak, Mark, Kocham cię.

Potrząsnął głową z niedowierzaniem, a ona mówiła dalej:

- Kocham człowieka, który nie podniósł ręki na kobietę, choć ta wylała mu piwo do zlewu, gdy miał potwornego kaca. Kocham człowieka, który, by pomóc siostrze swojej gospodyni, użyczył swego samolotu.

Przytulił ją w końcu i pocałował w czubek głowy.

- Kocham człowieka - ciągnęła - który kupił kucyka małemu chłopcu i nauczył go jeździć.

Mark ukląkł, pociągnął za sobą Audrey i całował ją, a wokół pachniała świeża zieleń trawy.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Kocha go. Powiedziała, że go kocha. Jego, Marka Malone. Upajał się tą myślą. Wie o nim wszystko, wyznał jej to, co najgorsze, a mimo to powiedziała, że go kocha. Płakała. Pierwsza kobieta, która zapłakała nad jego losem.

Wyjechał na północne pastwisko, ale wiedział, że dziś nie będzie pracować. Devon wyjeżdża i oni oboje z Audrey odstawią chłopca do domu samolotem. A drogę powrotną spędzą we dwójkę. Tylko oni.

Musi się zatem pospieszyć. Zawrócił konia i pogalopował do domu.

Wszedł do kuchni - nie było jej. Stała w jadalni w otwartych drzwiach od frontu, obok niej walizki. Za dużo jak na Devona.

Chłopca z nią nie było, żegnał się z kucykiem.

Mark obserwował ją i całą jego odporność, mur ochronny, jakim otoczył swoje serce, legł w gruzach. Ona nie może go teraz opuścić!

Musi ją zatrzymać. Tęsknił do niej, gdy nie widział jej zaledwie parę godzin. Tęsknił do jej głosu, gdy mówiła mu, że go kocha. I pragnął to samo jej powiedzieć.

Czyżby? Czy on ją kocha? Naprawdę?

Tak, podpowiadał mu jakiś głos. I on wiedział, że to była prawda.

Obserwował, jak odprowadziła chłopca do drzwi i cofnęła się nagle.

- Panie Burke, co pan tu robi?

Pan Burke? Kim, do diabła, jest ten pan Burke? Wysoki mężczyzna w eleganckim garniturze wszedł do środka, rozejrzał się.

- A więc tak wygląda dom Samotnego Kowboja. Wyobrażam sobie, jaki świetny kroi się artykuł dla naszego magazynu.

Słowo magazyn dzwięczało niczym echo w mózgu Marka. Coś w nim pękło. To ona jest dziennikarka? I chodziło jej tylko o materiał do reportażu o nim? Co za idiota z niego, że jej zaufa! Oczy zaszyły mu mgłą. To pewno pot. Bo- przecież nie łyzy, do licha!

Jakżeż musiała się z niego uśmieć! Żaloszny pijaczyna, który zakochał się w oszustce.

- Artykuł...? - mówiła Audrey podchodząc do drzwi. Obróciła się w stronę tego nadętego faceta, spojrzała mu przez ramię i napotkała wzrok Marka. - Nic z tego! - wykrzyknęła.

Mark chętnie chwyciłby ją za szyję i udusił.

- Wynoś się! - wrzasnął. - Oboje wynoście się, i to już!

Audrey podeszła do niego z wyciągniętą ręką.

- Mark, to nie jest tak, jak myślisz! Proszę cię, pozwól mi wytłumaczyć! Ja... nie chciałam cię skrzywdzić. Cofnął się.

- Nie dotykaj mnie! - Skrzyżował ramiona na piersi i przyglądał się jej ironicznie. - Mam za swoje! Szkoda słów!

Audrey była blada jak płótno. Zachwiała się, jakby zaraz miała upaść.

- A teraz wynoś się! - powtórzył.

Nie obejrzała się nawet na tego typu i szlochając ruszyła ku drzwiom.

Burke, najwidoczniej jej szef, spojrział na Marka.

Mark zbliżył się do niego z zaciśniętą pięścią. Ale ten w ślad za Audrey wyszedł z domu.

Mark zatrzasnął za nim drzwi, a potem przetarł oczy i zataczając się, ruszył w stronę fotela. Wszystko go bolało. Ciężko dyszał.

Na myśl, że niebawem znajdzie się na tytułowej stronie jakiegoś brukowca, poczuł przemożne pragnienie... Musi ostrzec swego brata. No i matkę, do cholery! Wieść się rozniesie, dziennikarze z innych gazet przedrukują reportaż! Koszmar!

Matka będzie miała uciechę. Obie z Audrey powinny porównać fakty, ustalić szczegóły jego życiorysu. Obie jędze, jedna warta drugiej.

On pewno w końcu sprzeda ranczo. I przeniesie się do innego stanu. Ale najpierw zrobi to, czego, jak przysięgał, miał nigdy nie zrobić.

Danny wyszedł już ze szpitala, infekcja minęła. Razem z Claire cieszyli się więc z powrotu do domu Devona, którego opowieści z pobytu na ranczu nie miały końca.

Audrey długo jednak u nich nie zabawiła.

Tłumacząc się zmęczeniem, pożegnała się i pojechała do swego mieszkania.

Nie zależało jej już na pracy Serce miała złamane. Co w tej sytuacji znaczyła jej kariera?

Nie miała złudzeń, że Mark po tym wszystkim odwzajemni jej miłość. Nie liczyła na to. Bardzo jednak cierpiała nad tym, że jej oszustwo wyszło na jaw. Teraz on już na pewno nie uwierzy w jej uczucie do niego.

Ostry ból przeszył jej serce.

Nazajutrz otrzymała w redakcji nowe zadanie - porady dla zawiedzionych kochanków. Ironia losu!

Po raz pierwszy w życiu Audrey straciła apetyt. Nawet czekolada z trudem przechodziła jej przez gardło.

Każdy nowy dzień był dla niej udręką. Najchętniej siedziałaby skulona na kanapie... Nie chciało jej się żyć, bo oszukała człowieka, który tyle wycierpiał.

- Przestań, Aud - mówiła Miranda. - Chodź, pójdziemy po zakupy. Muszę kupić sobie nowy kostium.

Po dwóch tygodniach pojawiły się u Audrey jej siostry i postanowiły wyrwać ją z tego marazmu psychicznego.

- Audrey, jesteś blada, oczy masz podkrążone, matowe włosy. Weź prysznic, ogarnij się i chodź z nami.



Po trzech godzinach przymierzania siostry usiadły w kawiarni marketu, by napić się mrożonego jogurtu.

- A teraz - zaczęła Claire tonem nie znoszącym sprzeciwu - powiedz, co się z tobą dzieje. Co z reportażem? Napisałaś go już?

Audrey otworzyła usta, ale żadne słowo nie padło. Jak ma im to wytłumaczyć? Nigdy nie zwierzała się siostronom, bo to ona była od słuchania i doradzania im w sprawach sercowych i nie tylko. Być może to ona stworzyła taki układ, i teraz, kiedy sytuacja się odwróciła, nie potrafi już być z nimi szczerą.

- Audrey, powiedz, co cię dręczy - rzekła Miranda.

- My naprawdę martwimy się o ciebie - dodała Claire. Audrey potrząsnęła głową.

- Wszystko przepadło - oznajmiła.

Gdy w końcu opowiedziała im po kolei, co się wydarzyło, na twarzach sióstr odmalowało się niedowierzanie i smutek. Claire objęła siostrę.

- Kochasz tego kowboja? - zapytała.

- Dobrze, że tak się to skończyło - rzekła Miranda. - Ten prostak nie zasługuje na ciebie. Uwierz mi. Audrey i Claire wymieniły spojrzenia.

- Rando - zaczęła Audrey marszcząc brwi - czy nie pokłóciłaś się czasem z Ronem?

- Nie. Ale nie mogę patrzeć, że tak się męczysz. Może napisz ten reportaż, to przynajmniej coś z tego będziesz miała.

- Powinnam go przeprosić - mówiła Audrey prostując się na krześle. - Nie wiem tylko, czy on zechciałby przeczytać to, co napiszę. Przesłałabym kopię Johnowi i Helen.

- Co takiego? - zapytała Claire.

- Kopię artykułu o tym, jak oszukałam porządnego człowieka - odparła Audrey. - Zaświadczy on o tym, jak bardzo czuję się winna.

- Przestań się zadreć, Audrey - powiedziała Miranda. - Przestań obarczać się winą.

Miranda nic nie rozumie, skonstatowała w duchu Audrey.

- Ja nie robię tego dla niego - rzekła. - Tylko dla siebie. Walczę o swój honor. Popełniłam straszny błąd. Myślałam, że cel uświęca środki, myliłam się...

Wypiła łyk jogurtu i po raz pierwszy od dwóch tygodni uśmiechnęła się.

Następnego dnia Audrey odbyła rozmowę z panem Burke. Zgodził się z nią. Uznał, że jej reportaż będzie dobrym chwytem reklamowym, przysporzy pismu czytelników.

Przez następny tydzień Audrey siedziała przy laptopie. Gdyby pisała ręcznie, pokój byłby zasłany pomiętymi kartkami papieru. Źle się jej pisało. Słowa w żaden sposób nie oddawały tego, co czuła, co było dla niej najważniejsze. Widocznie nie o słowa tu chodziło.

- Czytałeś dzisiejsze „Dallas Today”? - zapytał John, podsuwając Markowi gazetę pod nos.

Mark jadł właśnie zimną zupę z garnka, oglądając wiadomości w telewizji. Minęła dziesiąta, a on wrócił przed chwilą ze stajni, gdzie zawsze miał coś do zrobienia.

Ile tygodni, ile miesięcy musi upłynąć, by udało mu się zapomnieć o Audrey? Widział ją w każdym pokoju, w każdym kącie tego domu. Budził się w środku nocy spocony, rozgorączkowany, marząc o niej, o dotyku jej rąk, i najczęściej nie spał już do rana. Jakżeż wielką namiętność udało jej się w nim obudzić!

Chyba przyjdzie mu poszukać innej kobiety. Brunetki. Może wtedy zapomni.

Jego złe samopoczucie pogłębiała jeszcze bezsenność i nieustanne rozmyślania.

Z każdym dniem wstawał z łóżka o coraz późniejszej godzinie.

Spojrzał obojętnie na podającego mu gazetę Johna.

- Coś ciekawego? - zapytał.

- Przeczytaj i sam oceń - odparł John.

Mark zerknął od niechcienia na tytuł: „Fatalna pomyłka dziennikarki”.

- Cholera! Co to jest, John?

- Dowiesz się, jak przeczytasz.

Wzrok jego padł na tytuł: „Niedoszła reporterka popełniła niewybaczalny błąd”.

Pochylił się nad gazetą.

„Chcąc dotrzeć do danych dotyczących życia i losów znanego bohatera rodeo, legendy areny, zatrudniłam się na jego ranchu jako gospodyni. Sądziłam, że napiszę o nim reportaż, zyskam szlify dziennikarza-reportażysty i na tym się skończy. Lecz Mark Malone to nie tylko wspaniały kowboj, obsypany medalami.

W ciągu dwóch tygodni miałam możliwość poznać prawdziwego Samotnego Kowboja. To człowiek honoru, godny najwyższego szacunku, który zdołał przezwyciężyć ogromnie trudne problemy, na co większości mężczyzn nie byłoby stać. Zamieszkałam na jego ranchu udając kogoś innego i bardzo mi wstyd, że nadużyłam jego zaufania. Jako wyraz zadośćuczynienia pozwolę sobie urządzić zbiórki pieniędzy na wspomnienie stowarzyszenia sponsorowanego od lat przez Marka Malona.

Owa zbiórka odbędzie się w sobotę i ja osobiście będę na stoisku zachęcać wszystkich do hojności na tak wzniosły cel, jakim jest pomoc poszkodowanym w wypadkach na arenie. Proszę zatem o liczne przybycie.”

Dalej autorka informowała o terminie i miejscu, gdzie zbiórka się odbędzie.

Mark milczał - zdumiony, zaskoczony. Miał jednak sobie za złe, że nawet po tej lekturze jedyne, o czym był w stanie myśleć, to Audrey w mokrym T-shircie, który uwydatniał ciemne brodawki jej piersi. On, Mark, musi dziś wziąć - mówił sobie w duchu - prawdziwie lodowaty prysznic.

- Niech to szlag - powiedział. - Ona naprawdę gotowa to zrobić. - Popatrzył ostro na Johna.

- Na pewno. - John nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. - Chodzi jednak o to, co zrobisz ty.

- Nic! Już raz zrobiła ze mnie idiotę. Wystarczy.

- Było, minęło. Teraz ona cię przeprasza.

Mark, z gazetą w ręku, zmarszczył brwi.

- Liczy pewno na to, że dostarczę jej materiał do kolejnego reportażu.

- Głupstwa gadasz. Powiedziała Helen, jeszcze przed pojawieniem się Keitha, że nie naruszy twojej prywatności, nawet gdyby jej szef miał ją wywalić.

- To ty wiedziałeś o jej planach i nic mi nie powiedziałeś? Dlaczego?

- Przestań się czepiać! Helen powiedziała mi o tym pod koniec zeszłego tygodnia. Wolą się nie wtrącać... Teraz nie ma to już żadnego znaczenia.

- Tak, Audrey przekabaciła was na swoją stronę. Wcale się temu nie dziwię. Ale do siebie - mam pretensję. Bo ja nie wierzę, by taka kobieta jak ona mogła mnie... - Urwał.

- Pokochać? - dokończył John. - Pokochać ciebie? Nie uważasz, że tak się właśnie stało?

Mark pamiętał, gdy Audrey po raz pierwszy szepnęła mu, że go kocha. Po raz drugi powiedziała to już znacznie pewniejszym tonem. Serce jego przeszył ból i zarazem wezbrała w nim wściekłość. Zapanował nad gniewem, niczego po sobie nie okazał.

- Obejdę się bez jej miłości - rzekł.

- Nie wszystkie kobiety są takie jak twoja matka - powiedział John.

Mark, z rękami w kieszeniach, utkwiał wzrok w podłogę.

- Możliwe - zgodził się ze swoim przedmówcą.

- Tyle już w swoim życiu przeżyłeś wzlotów i upadków, zwalczyłeś nałóg. Czy nie pora, byś przyjął miłość takiej kobiety jak Audrey?

- Nie... Jeszcze nie teraz.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Mały, obłożony z tynku domek w północnej części Fort Worth wyglądał jeszcze bardziej niechlujnie, niż Mark zachował go w pamięci. Keith ofiarował się mu towarzyszyć, ale w tej sytuacji Mark wolał być sam.

Zaparkował samochód obok domku i prawie godzinę siedział w aucie, rozmyślając nad czekającym go przeżyciem.

Niczym koła ratunkowego trzymał się kierownicy, modląc się do Boga, by dał mu siły na rozmowę z matką.

Otworzyła mu drzwi, gdy tylko zapukał, jakby na kogoś czekała. Była umalowana, ten sam co dawniej mocny makijaż, wskutek czego zmarszczki i worki pod oczami były jeszcze bardziej widoczne. Miała na sobie obcisłe spodnie i te same duże kolczyki w uszach. Włosy ufarbowane na blond, tak jak dawnymi laty.

- Jeśli szukasz Dudleya, to nie ma go tu – powiedziała z papierosem przyklepionym do karminowych ust.

Mark przelknął ślinę.

- Cześć, mamó - rzekł.

Przez parę sekund przyglądała mu się badawczo. Papieros odkleił się od ust i uśmiechnęła się, ukazując rząd żółtych zębów nałogowego palacza.

- Wiedziałam, że w końcu przyjdiesz do matki.

Ręce Marka zacisnęły się w pięść jakby automatycznie, bez jego udziału.

- Mogę wejść? - zapytał.

- Jasne, włącz.

Zaprowadziła go do małej brudnej kuchni i wskazała na krzesło przy stole. Wyjęła z lodówki dwie butelki piwa.

- Siadaj i napij się.

Mark zdjął kapelusz i usiadł. Odsunął butelkę. Zapach piwa mieszał się z tanimi perfumami - pamiętał ich woń z czasów dzieciństwa. W ustach mu zaschło, bał się, że nie wydusi z siebie ani słowa.

- No więc czego ode mnie chcesz? Zrywasz ze mną wszelki kontakt, tak? Bo nie chcesz mi dawać pieniędzy?

- Nie. Będziesz dostawała jak zawsze.

- To o co chodzi? Keith cię tu przysłał? - wychrypiąła i zaciągnęła się papierosem.

- W pewnym sensie - rzekł.

- To powiedz mu, żeby tę cholerną psychologię zachował dla siebie. Ma o sobie wielkie mniemanie, myślałby kto!

Keith uprzedzał go wprawdzie, był przygotowany na taki widok, lecz uczucie niesmaku nie opuszczało go ani na chwilę.

- Powinnaś być zadowolona, że istnieje ktoś, kto się o ciebie troszczy. Ale dla ciebie nic nie jest ważne. Tylko ty się liczysz.

- Nie mów do mnie w ten sposób! Jestem twoją matką!

Mark pamiętał to uczucie panicznego lęku, gdy matka podnosiła na niego głos. Nauczył się jednak tłumić ów lęk, przybierać maskę obojętności. Zachował tę wiedzę po dziś dzień - tyle tylko, że zmrużył oczy. Nie bał się, nie był nawet zły. Jedyne uczucie, jakie żywił w tym momencie, to litość. Audrey miała rację. Ludzie sami marnują sobie życie.

I raptem coś stało się dlań jasne, rozświetliło mu umysł niczym błyskawica ciemną noc. To nie była jego wina. To ona rozwalila mu świat, nie odwrotnie. On był ofiarą.

Był dzieckiem, kiedy matka wyzywała go od ostatnich, aż wreszcie któregoś wieczora miał dość. Dziesięcioletni chłopak nie mógł przewidzieć, że tak się to skończy. Tak tragicznie.

Przez całe lata wierzył, że gdyby był mądrzejszy, silniejszy gdyby nie zdradził sekretu... rodzice kochaliby go i kochaliby Keitha. Mogliby być normalną rodziną. Ale teraz widzi, jak bardzo się mylił.

Aż do tej pory czuł się tak, jakby na każdym ramieniu dźwigał siodło. Teraz je zrzucił. Był wolny, przeszłość nie miała już nad nim władzy.

Milczał, a matka usiadła, ciężko dysząc, ręce jej drżały.

- Dudley będzie tu lada chwila - rzekła. - Lepiej idź już stąd.

- Mam do ciebie prośbę - zaczął. - Mogą zjawić się u ciebie dziennikarze i będą pytać o mnie.

Nic nie mów na mój temat.

Spojrzała na niego z chytrym błyskiem w oczach.

- Dziennikarze? A jeśli złożą mi ofertę nie do odrzucenia?

Właściwie odczytał jej pytanie.

- Ile? - zapytał.

- Dwie stówy byłoby w sam raz.

Mark wyjął portfel i podał jej dwa banknoty po sto dolarów.

- To jest zaliczka - rzekł. - Mój menadżer wypisze ci czek na resztę. Jeśli dziennikarze zaoferują ci więcej, podwajam stawkę.

Zgasła papierosa.

- Myślisz, że jak jesteś taki sławny, to wszystko możesz kupić?

Mark uśmiechnął się smętnie, wziął kapelusz i ruszył ku drzwiom.

Audrey zanurzyła dłonie w zimnej wodzie i dreszcz ją przeszył. Zaczęła ściągać z siebie za dużą koszulkę. Pod spodem miała jednoczęściowy kostium kąpielowy. Rany boskie, myślała, w obcisłym

kostiumie będzie się czuła jak naga! Gruba, brzydka, te jej kompleksy! Nawet przy Marku niełatwo się ich pozbyć. Lecz postęp jest - przed paroma miesiącami nigdy by tu nie przyszła.

Mark przysporzył jej cierpień, to prawda, ale w jakiś sposób ją odmienił. Poczwała się przy nim piękna i godna pożądania. Nigdy już nie będzie stała na uboczu, czując, jak życie toczy się obok niej. Będzie już nad swoim życiem panować.

Ironia losu, pomyślała. Nie zrobiła testu, ale była chyba w ciąży. Przeżywała, rzecz jasna, chwile lęku na myśl o małym ciemnowłosym i niebieskookim maleństwie. Jak to jest, zastanawiała się, gdy nowe życie powstaje we wnętrzu twego ciała?

Staneła na pomoście.

- Toby! - rozległ się tuż obok głos nastolatka. - Patrz, to ta z gazety. Pomożemy jej skoczyć, no nie?

- Hola, synu!

Audrey cała zamarała - nie mogła ani głosu z siebie wydobyć, ani nawet odetchnąć głębiej. Przyszedł tu. On. Czarny kapelusz, biała koszula, dżinsy. Wyglądał jak księżę z bajki.

- Za pocałunek tej pani wykładam pięć tysięcy na zbożny cel.

Któryś z chłopaków podbiegł, zajrzał jej w oczy, potem odwrócił się, spojrzał na Marka.

- Chwileczkę - rzekł. - To pan jest ten Samotny Kowboj? Mogę prosić o autograf?

Audrey spojrzała na Marka. Ze wzrokiem w nim utkwionym ruszyła ku niemu.

- No, gdzie te pięć tysięcy? - zapytała, siląc się na żartobliwą nutę.

Mark wyjął z kieszeni dżinsów garść banknotów i położył obok na stoliku.

- Teraz kolej na pocałunek - rzekł.

Co on wyprawia? - myślała. Po co to wszystko? Zarzuciła mu ręce na szyję i dotknęła ustami jego ust. Liczył na to, że owo muśnięcie zamieni się w pocałunek, ale ku jego zdumieniu odepchnęła go.

Zmierzyła go spojrzeniem. Czy on ma ją za głupią, tchórzliwą dziewicę? Przestała już być nieśmiała, przestała się bać. A gry miłosne miała już za sobą.

- Sądziłem, że naprawdę chcesz mnie pocałować.

Przyglądał się jej z lekkim uśmiechem. Po czym, nie zważając na gromadę gapiów, pochylił się i pocałował ją naprawdę.

Audrey poczuła żar w całym ciele. Usta miał gorące, zaborcze, upajała się nimi niczym spragniony wędrowiec szklanką wody.

Uchyliła powieki, gdy chwycił ją ramieniem pod kolana i wziął na ręce.

- Co ty wyprawiasz? - zapytała zdławionym szeptem.

- Idziemy - odparł kierując się w stronę drzwi - Mam dość jak na jeden dzień! - Mówił głosem niskim, zachrypniętym.

- Puść mnie!

Wrywała się, ale on trzymał ją w żelaznym uścisku.

- Nie jesteś ciężka - powiedział.

- Może i nie jestem - mówiła nie przestając walczyć. - Ale wiem jedno, nie chcę być z tobą.

- Chcesz - oświadczył zmrużywszy oczy i mocniej ją do siebie przytulił. - Przestań więc się wiercić.

Krew uderzyła jej do głowy Spojrzała na Marka. Usta miał zaciśnięte, zmrużył powieki.

- Włóż to, bo nie odpowiadam za siebie. - Podał jej T- shirt, który zgarnął z wieszaka.

A ona była cała w nerwach, nie wiedziała, co gorsze - akt porwania czy też wystawienie jej na pośmiewisko. Ale na szczęście mogła już osłonić się tą za długą dla niej koszulką.

Po opuszczeniu Centrum Rekreacji Mark zatrzymał się i rozejrzał dokoła.

- Dokąd zmierzasz? - zapytała.

Milczał i po chwili wcisnął ją do stojącego przy krawężniku auta. Sam też usiadł na tylnym siedzeniu. Przegarnął dłonią włosy. Nie odzywał się do niej ani na nią nie spojrzał.

Włosy miał teraz trochę dłuższe, a pod oczami sińce. Był ogolony, pachniał tą samą dobrą wodą. Trzymał ją mocno za ramię.

- Czego chcesz? - zapytała.

Patrzył na nią i dostrzegła chyba w jego oczach ów dawny błysk namiętności. Ale momentalnie zniknął. A może ona uległa złudzeniu? Czego od niej chciał? Uniosła ramiona, by włożyć na siebie T-shirt.

Powstrzymał ją.

- Przecież sam mi to podałeś - rzekła. - Chciałeś, żebym się ubrała.

- Zmieniłem zdanie - oznajmił.

Opuściła bezradnie ramiona. To prawda, oszukała go, co nie znaczy, że pozwoli sobą pomiatać. Spojrzała w te jego piękne niebieskie oczy i poczuła, że go pragnie... Ale nie może dać tego po sobie poznać.

- Tak, okłamywałam cię - rzekła. - Lecz nie zamierzałam opublikować twoich tajemnic i publicznie cię przeprosiłam. Czego jeszcze ode mnie chcesz? Czy aby za daleko się nie posuwasz?

- W żadnym razie, kochanie - odparł pieczętując rozmowę pocałunkiem.

Chciała, by puścił jej ręce, by mogła dotknąć jego włosów. Spełnił to jej życzenie.

- Przestań - rzekła, gdy przywarł ustami do jej piersi. Nie przestał. Całował jej szyję, ramiona.

Odepchnęła go.

- Przestań, proszę cię.

- Dlaczego? - zapytał spoglądając na nią spod przymrużonych powiek. - Nie pamiętasz, co mi mówiłaś?

Już, już chciała potwierdzić, ale w porę ugryzła się w język. Czy on prowadzi z nią jakąś okrutną

grę? A może byłoby lepiej, gdyby myślał, że wtedy skłamała? Kilka razy okazało się, że racja była po jego stronie. Po co dawać mu okazję ponownie?

Mark westchnął. Czyżby dostrzegła na jego twarzy wyraz rozczarowania?

- No dobrze, już przestaję - oznajmił. Wyprostowała się.

- Czego ode mnie chcesz? - zapytała.

Objął ją znowu, przytulił i rzeki z uśmiechem:

- Zagrać z tobą w karty o wysoką stawkę, kochanie.

O wysoką stawkę, myślała. Przez chwilę brzmiały jej w uszach dzwony weselne, I nie tylko.

On, taki przystojny, taki atrakcyjny. I właśnie to utwierdzało ją w przekonaniu, że jest nie dla niej. On jest dla bogatych dam, królowych piękności, spikerek telewizyjnych.

A ona? Byle kto, w dodatku gruba.

Miała trzy możliwości. Mogła blefować i wysuwać żądania. Ale każdy poznałby się na tym. Mogła apelować o pobłażliwość. Albo po prostu czekać i znosić swój los z godnością, której ostatnio jej zabrakło. Wybrała godność.

- No dobrze - powiedziała. - Skończmy już z tym.

Ujął ją za podbródek, zmuszając tym samym, by popatrzyła na niego. A on już się nie uśmiechał, oczy mu płonęły.

- Sporo czasu upłynie, nim skończymy z tym, kochanie.

Pochylił się, zastukał w szybę.

- Słucham? - zapytał kierowca.

- Masz tu składany stolik?

- Tak, po prawej stronie.

- Świetnie.

Audrey zachodziła w głowę; do czego on zmierza? Chce grać w pokera, teraz?

- Jedną rundkę - mówił tasując karty, które wyjął z kieszeni - Zwycięzca bierze wszystko.

Przełóż.

- Ale ja nie mam przy sobie pieniędzy. Jaka jest stawka?

- Stawka? - Mark uśmiechnął się groźnie. - Mówiłem ci, kochanie. Wysoka.



## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Uczucie triumfu przepełniało Marka. Chwycił tę cholerną koszulkę takim gestem, jakby to była jedyna dzieląca ich rzecz.

Może i miał rację.

Nie mógł oderwać od niej oczu. Od jej zaróżowionych policzków, od związanych na czubku głowy włosów i kosmyków okalających jej twarz. Była piękna. Kiedy pocałowała go, jej zielone oczy błyszczały jak gwiazdy, a jemu cała krew odpłynęła z twarzy.

Czy ona rzeczywiście go kocha? Trudno zrozumieć kobiety. Tamtej nocy na łące wyznała mu miłość. Teraz on czeka na potwierdzenie. Błysk w jej oczach wystarczał za słowa.

- No więc... jaka to stawka? - zapytała drżącym głosem.

- W porządku, Audrey, nie przejmuj się.

Obdarzył ją równie złośliwym uśmiechem, jakim ona go uraczyła.

To już nie jest to naiwne dziewczę, pomyślał.

- Rozumiem, że o coś ci chodzi - rzekła. - O moją pracę? Odejdę. Znajdę sobie inny temat. O seks? Mówiłeś, że masz wszystko, co ci potrzebne do szczęścia.

- Do diabła, Audrey - powiedział. - Wiesz przecież, jak było. Lepiej niż dobrze.

Po dłuższej chwili milczenia oznajmił:

- A teraz co do stawki. Jeśli wygrasz, dostajesz Double M.

- Twoje ranczo? - chwyciła go za ramię. - Co ty wygadujesz? Nie pójdę na to! Nigdy w życiu!

Niejako wbrew sobie spojrział jej w oczy.

- Bez ciebie Double M nie ma dla mnie żadnej wartości - oświadczył.

Potrząsnęła głową.

- Przecież ty mnie nienawidzisz. Okłamałam cię.

Gdybyż Audrey wiedziała, jak bardzo on ją kochał. Najpierw jednak musiał się przekonać, czy ona darzy go prawdziwym uczuciem.

- Wygrywam, biorę ciebie - powiedział. - Tu, w aucie. Zaraz. Bez ciuchów.

- Tu? Zobaczą nas. A kierowca?

- On nic nie widzi. Taka szyba. Szyby w oknach też takie same. Nic z zewnątrz przez nie nie widać.

Audrey zaczerpnęła oddechu i rzekła:

- Mnie niepotrzebne twoje ranczo. Potrzebne mi coś całkiem innego. Żebyś mi wybaczył.

- Umowa stoi.

Uchyliła szybę w limuzynie, uniosła rękę i wyrzuciła talię kart.

- Wygrałeś - oznajmiła z uśmiechem.

Zaniemówił na chwilę. Co za kobieta! - pomyślał.

Audrey sama nie mogła w to uwierzyć. W to mianowicie, że siedząc w aucie rozebrała się. Może inne kobiety to potrafią, myślała dawniej, ale nie ona.

Tymczasem stało się - siedziała goła, gruba i goła, eksponując swoje wdzięki. Drgnęła, gdy zobaczyła, że on rozpina guziki swojej koszuli.

Skończył rozpinać, rzucił koszulę na podłogę. Poczula woń wody kolońskiej, lekki zapach męskiego potu i... westchnęła głęboko.

Rozpiął pasek. Rozsunął zamek dzinsów. Spodnie ściągnął razem ze slipami - zostały jeszcze buty. Pomogła mu je zdjąć.

Obserwowała potem jego muskularną pierś, płaski brzuch, wzrok jej spoczął niżej...

Zafascynowana tym, co ujrzała, drgnęła, gdy się odezwał:

- Poza pielęgniarzkami w szpitalu jesteś jedyną kobietą, która widzi mnie w takiej postaci. - Wskazał wzrokiem swoje uda. - Okropny widok, prawda?

Spojrzała.

Prawą nogę od uda po kostkę miał pokrytą bliznami. Kolano - zdeformowane. Cud, że w ogóle chodzi, pomyślała.

Napotkała jego wzrok. Jeśli czekał na jej opinię, to zawiódł się - nic po sobie nie okazała. Dotknęła tylko delikatnie tych blizn.

- To istny cud - rzekła. - Dowód twojej siły i nieposkromionej woli życia.

Ujął jej dłoń, uścisnął - i spojrzała na niego ponownie. Chciała, by wyczytał z jej oczu to, co do niego czuje.

A on miał oczy pełne łez, łez, które lada chwila spłyną mu po policzku. Pocałował ją w usta. Po tym jakże długim pocałunku odchylił się i zapytał:

- Dlaczego mnie okłamałaś?

Nie tak wyobrażała sobie swoje wyznanie winy, ale stało się, zapytał. Marzyła teraz tylko o tym, by jej uwierzył.

- Swoje dwudzieste piąte urodziny spędziłam sama. - Roześmiała się smutno, bez nuty radości. - Nigdy nie miałam nic swojego, nawet psa. Sądziłam, że kariera wypełni pustkę w moim życiu...

- Ale zrezygnowałaś z kariery, straciłaś szansę, dla mnie?

- Poznałam cię i nie mogłam ci się sprzeniewierzyć. Nawet dla własnej kariery - mówiła z przymkniętymi powiekami. - Nie potrafiłabym spojrzeć sobie w oczy w lustrze. Poza tym mam nadzieję, że z czasem zdobędę dziennikarskie szlify. Chciałabym, żebyś mnie zrozumiał i... wybaczył.

Otworzyła oczy; wyglądał groźnie.

- Nigdy więcej mnie nie okłamuj - powiedział.

- Nigdy więcej - powtórzyła.

- Wobec tego... - Uśmiechnął się. - Wybaczam ci. Zarzuciła mu ręce na szyję.

- Dzięki - szepnęła.

- Mało brakowało, a zacząłbym znowu pić - wyznał. Audrey wstrzymała oddech.

- Ale nie zacząłeś, prawda?

- Wierzyłaś we mnie, a to zobowiązuje, bez względu na wszystko. Nie w Samotnego Kowboja, tylko we mnie, w Marka. Dzięki tobie sam w siebie uwierzyłem.

Całował ją coraz bardziej zachłannie. I nagle cofnął się, odchylił głowę.

- Powiedz mi to, Audrey, proszę cię. Powiedz, że mnie kochasz.

- Kocham cię, Mark.

Czuła bicie jego serca, płynący od niego żar.

- Powtórz to - poprosił. - Chcę słyszeć to od ciebie co dziennie. Nie chcę, żebyś sprzątała, gotowała.

- Chwileczkę...

- A jak się okaże, że jesteś w ciąży? Jeśli chcesz - ciągnął, nie czekając na jej odpowiedź - ślub możemy wziąć tutaj, w Forth Worth. Chciałabyś pewno, żeby twoja rodzina...

Przykryła mu dłonią usta.

- Mark, o czym ty mówisz?

Spojrzał na nią tak, jakby nie rozumiał, o co jej chodzi.

- O nas. O ranczu. O wszystkim.

- Chcesz, żebym zamieszkała na ranczu?

- A ty chcesz mieszkać w Dallas? Jasne, możemy tu kupić dom, ale mieszkać będziemy na ranczu.

- Ale...

- Będziesz pisać te swoje artykuły. Lecz chyba dom i dzieci są ważniejsze.

- Jakie dzieci, Mark?

- Nasze - powiedział. - Te, które się nam urodzą. No bo jak weźmiemy...

- Masz na myśli to, co się nazywa ślub?

- Oczywiście.

- Ale ty mi się nie oświadczyłeś.

- Przecież wszystko wiadomo.

- Chciałabym, żebyś poprosił mnie o rękę. Mark westchnął ciężko.

- Czy zgodzi się pani zostać moją żoną? - zapytał.

- Nie, nie zgodzę się.

- Co? Przecież powiedziałaś, że mnie kochasz.

- Ale ty mi nie powiedziałaś - wyszeptała. Roześmiał się.

- Kocham cię, Audrey, twoje piękne oczy, uśmiech... ciebie całą. - Przytulił ją do siebie. - No

więc, czy wyjdiesz za mnie za mąż, czy też wolisz żyć ze mną w grzechu. Bo innego wyjścia nie widzę.

Była szczęśliwa. Już nigdy nie poczuje się samotna, nikomu niepotrzebna. Lecz jedna sprawa wymagała omówienia. Czy może mu to powiedzieć, myślała, skoro sama nie jest tego pewna.

- No bo... całkiem możliwe, że za osiem miesięcy przyjdzie na świat nasze dziecko.

Otworzył szeroko oczy, ale nie wyrzekł ani słowa.

- Mark, jesteś przerażony?

Twarz rozjaśnił mu uśmiech.

- Co ty mówisz, kochanie? Przerażony? - Objął ją mocno. - Będę cholernie dobrym ojcem, przysięgam!

- Wiem, dlatego wyjdę za ciebie.

- Nie wątpię, ciężarna kobieto, że pilno ci do ołtarza.

- A ty rzeczywiście dałbyś mi to ranczo, gdybym wygrała i gdyby sprawy inaczej się potoczyły?

- Skarbie, jesteś warta najwyższej stawki.

## EPILOG

Kowbojskie Boże Narodzenie. Dzień Czwarty Lipca nabrał zupełnie innego znaczenia.

Tego roku Mark spędzał święta na werandzie, pilnując swojej czteromiesięcznej córki leżącej w wózeku. Alice Helen Malone miała po ojcu niebieskie oczy, a blond włosy - po mamie.

Mark rozejrzał się po ogromnym dziedzińcu, który uległ takiej samej zmianie jak jego właściciel. Nie porastały go już chwasty i nie poniewierały się nigdzie żadne niepotrzebne graty.

Dzięki ich fundacji na terenie rancza młodzież grała w baseball, chłopcy i dziewczęta jeździli na kucykach, kąpali się w basenie. Głównie osierocone dzieci zawodników biorących udział w rodeo.

- Wszystko w porządku? - zapytała go żona, niosąc miskę chipsów.

Jego żona. Wciąż jeszcze nie mógł uwierzyć, że los obdarzył go takim szczęściem. A przecież w ubiegłym miesiącu obchodzili pierwszą rocznicę ślubu.

- Mój aniołek - powiedział Mark, biorąc delikatnie córeczkę na ręce.

- Raczej diabełek - rzekła Audrey, spoglądając na niego z czułością. - Kto by pomyślał, że wyjdę za Samotnego Kowboja.

Wsparta dłoń na jego ramieniu i pocałowała męża.